Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 45 gr.

GŁOS

DWUTYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Nr. 3 | Poznań, dnia 5 lutego 1935 | Rok V

„Na beznadziejnie błędnej znalazłby się drodze, ktoby chciał szukać formuł i określeń typu narodowego, ktoby tworzył odpowiednie doktryny i usiłował wcisnąć w nie formuły bytu społecznego. Typ narodowy tkwi we krwi i duszy, w głębokich instynktach."

Zygmunt Balicki

Szowinizm?

Szeroko rozpowiada się dziś po całej Polsce o „szowiniźmie narodowym", o „zoologicznym nacjonaliźmie", itd. Określeniami temi przepełnione są łamy prasy polskiej (od konserwatywnej poprzez marksistowską do żydowskiej). Próbuje się nawet przeciwstawić nacjonalizmowi rasowemu, „nacjonalizm państwowy" czy inny. Możnaby po tych alarmach, po tym zachrypłym wrzasku sądzić, że polskość dysponuje systemem politycznego myślenia i odczuwania, a więc szkołą polityczną, któraby naród ujmowała w całej jego bezwzględnej odrębności zupełnie biologicznie, jako pewien zbiornik energji życiowej, jako niezależny czynnik w świecie, stający do tegoż świata w opozycji, w opozycji do wszystkich jego kulturalnych i cywilzacyjnych zdobyczy w imię prawa do swej własnej i niezależnej twórczości; możnaby sądzić dalej, że naród polski dysponuje falangą myślicieli, polityków i artystów, ktorych wyobraźnię rozpala, myśl zapładnia i czyn rodzi, to bezwzględne utożsamienie się z narodem w jego gigantycznych zmaganiach z całym światem.

Sąd taki jednak byłby raczej fałszywy. To też wszelkiego rodzaju pokrzyki na temat „szowinizmu narodowego", czy „zoologicznego nacjonalizmu" w Polsce nie odpowiadają istotnemu stanowi rzeczy, są grubą przesadą czy przezornem uprzedzaniem faktów. Jak trudno bowiem byłoby wskazać w Polsce ludzi w swej postawie narodowej konsekwentnych, aż do ostatnich granic. Można raczej mówić o pewnych elementach narodowych w ich światopoglądzie, trudno zaś mówić o jakiejś monolitycznej, twardej i nieugiętej postawie.

Ileż to razy spotkać się można z pewną połowiczną konsekwencją w narodowym sposobie myślenia, t. zn., że konsekwencja ta sięga tylko pewnych granic, dochodzi do pewnego punktu i tu załamuje się. Działają na to, albo przyczyny zewnętrzne, drażliwości danej rzeczy, a w slad za tem oportunizm, albo też, co ważniejsze, przyczyny wewnętrzne, idące z uprzedniego ukształtowania się psychiki autora czy działacza, a w ślad za tem niemożność przezwyciężenia pewnego kalectwa duchowego, niemożność dalszego wspinania się po drabinie konsekwentnego narodowego myślenia, ponieważ w pewnem miejscu wyłamane zostały potrzebne do tego szczeble.

W tym momencie niejednokrotnie na miejsce poważnego myśliciela wkracza niepoważny fantasta, upraszczający zagadnienia i stwarzający nieuzasadnione dogmaty. Trudno tu szczegółowo zastanawiać się nad tem, dlaczego typ Polaka, to raczej człowieka, któremu wybito te zęby, któremi broni się praw narodu do niepodległości we wszystkich dziedzinach życia — zbyt daleko by nas to zaprowadziło.

W każdym bądź razie gdzieś trzeba szukać przyczyny tego, że dotąd nie zabłysnęliśmy przed światem w całej krasie naszej narodowej indywidualności, manifestującej się bogatą gamą zjawisk nam tylko właściwych, gdzieś trzeba szukać przyczyn tego, że na zdobycze naszej kultury można patrzeć jak na żarzące się iskry, odpryskujące z żywiołowo płonącego ogniska, które jednak poza nami płonie.

Z trzech naszych wieszczów najbardziej, jak się zdaje, boleśnie odczuwał to dziwne upośledzenie Słowacki. Stąd ten ciągły nawrót do prapoczątków naszego narodowego bytu i szukanie w nich natchnienia. Stąd to uporczywe wnikanie w duszę Polaka i analiza jej pierwiastków, stąd rozpaczliwy krzyk pełen smutku i poczucia własnej winy („Pawiem narodów byłaś i papugą") i stąd wreszcie ten w tęsknotach wypieszczony obraz — „nowej — nagością żelazną bezczelnej — niezawstydzonej niczem nieśmiertelnej!".

Wszystko to wyrosło z rozpalonego do białości sumienia narodowego. A wieszcz, ani na chwilę nie wahał się wyciągnąć z tego ostatecznych konsekwencyj, nie odrzucał od siebie roli budziciela sumień ,ale ją z całem poczuciem odpowiedzialności brał na siebie:

„Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam,
Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam".

I nie odtrącał od siebie roli budziciela narodowego sumienia, chociaż doskonale wiedział, że postawa ta może sprowadzić na jego głowę tylko przekleństwa i wyklinania.

Wiedzał bowiem i to, że jego reprezentanta słusznej sprawy, jego obrońcę słusznych praw do wolności, zespolonego z istotą ducha narodowego, nie może dosięgnąć żadne przekleństwo, nie może przekląć nikt dotknięty trądem duchowego niewolnictwa, nie odczuwający potrzeby wolności zdobywanej przez naród i w narodzie:

„Szczeknij z boleści i przeklinaj syna!
Lecz wiedz, że ręka przekleństw, wyciągnięta
Nademną — zwinie się w lęk jak gadzina,
I z ramion ci się odkruszy — zeschnięta,
I w proch ją czarne szatany rozchwycą;
Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!"

Należy więc dobrze uświadomić sobie ten czynnik, wprawiający w ruch mechanizm twórczości wielkiego poety, a streszczający się w niezwykle wysubtelnionej czujności i wrażliwości na wszelkie najdrobniejsze zakusy na integralność duszy narodu i zarazem zastanowić się czy postawa ta upowszechniła się, czy stała się postawą najszerszych mas chociażby inteligencji. Chyba — nie.

A jeżeli nie, to cóż dopiero mówić o „szowiniźmie narodowym" czy „zoologicznym nacjonaliźmie". Inteligencję polską wyprał z uczuć narodowych i ubezzębnił pod tym względem marksizm, niektóre tendencje pewnych kół uchodzących za katolickie, obłudny konserwatyzm, masonerja i Żydzi.

Jedynie masy ludu przechowały świeżość reakcji na sprawy n a r o d u. Jedynie one przechowały we krwi, w instynktach swych odmienny system plemiennego współżycia, zagłuszany z zewnątrz płynącemi naleciałościami. Tym też masom musi przypaść w udziale budowa nowej Polski, wznoszonej ustawicznym wysiłkiem w walce o byt dla siebie i miljonowych rzesz przyszłych pokoleń — budowa bohaterskiej Polski ludowej — jak mówi Kasprowicz. W ich spracowanych rękach nabierze ciała, zmaterjalizuje się heroiczna zjawa nawiedzająca wieszcza w romantycznych snach i nie pozwoli się więcej „łudzić błyskotkami:"

„Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród i ludy przelęknie,
Że taki wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieńce —
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec".

M. S.

K. DOBRZYŃSKI

Tkacz

Tkaczu! — tkaj sukna, jedwabie, muśliny...
Tkaj, tkaczu!...
Niech dźwięczy osnowa jak struny,
niech śmigła — bieguny
zawarczą, zachłysną się w locie.
Czyżbyś zapomniał smarować maszyny?
Tkaj, tkaczu!...
sztuk... metrów krocie!..
— — — — — — — —
... oczy spuchnięte, jakgdyby od płaczu...
twe ręce dzisiaj są jakby drewniane...
Baczność! — bo „sica" za chwilę wyskoczy —
gdzieś podział oczy..
...nogi się chwieją?... cóż to, czy pijane?...

Że w domu chłodno i zabrakło chleba,
że jakieś oczy w gorączkowym blasku
sypią ci w duszę zwał żółtego piasku;
piasku, co mrokiem zasypał ci nieba;
że wicher ze skowytem przez izbę przechodzi
cóż komu szkodzi?! ...
Tkaj, tkaczu!...
prędzej...
zwijaj się żwawo, skacz... akord masz przecie
no, dalej! rusz się, niech się nitka plecie,
łączy w tysiące, miljony wiązadeł...
Grzmijcie czółenka łoskotem kowadeł,
niech się towaru przewija wąż długi —
metr jeden... drugi ..

Czego ci smutno? —
Czy to dlatego, że dziecka twarz mała
jest taka biała,
jak płótno?..

Co, drży ci serce, chce z łona wyskoczyć,
wzrok ci zaćmiewa jakaś fala szkliwa?
dzień ci się mroczy? .
Uważaj psiakrew, bo nitka się zrywa!...

Patrz!... śliczny atłas miękki, połyskliwy,
jak będzie legał na krągłych ramionach,
różowych piersiach, roześmianych łonach;
w salonach
gdzie się rozpostarł dziko jazz wrzaskliwy...
— — — — — — — —
...strugi szampana...
tłum — tłuszcza pijana...
jarzące światła, toasty, kinkiety...
przegięcia słodkie... czar tonów uroczy...
błyszczące oczy...
kobiety...
— — — — — — — —
Tkaj, tkaczu!...
Hej! — zasłoń usta!.. — Któż na towar pryska
kaszlem płuc chorych, grudką krwi wyplutej?
Co, bunt ci żeber rozsadza łożyska,
zazgrzytał w krtani na piekielną nutę?...
Serce z ludzkiego zrobiło się wilcze —
chciałbyś rżnąć w tryby pochyloną głową?..
Milczeć!
Załóż tam, durniu, szpulkę nici nową!...

Tkaj, tkaczu!...
podwój się, potrój, rzucaj, ciskaj, miotaj! —
prędzej i prędzej... zagłusz ból, co wyje,
palące kleszcze zaciska na szyję...
Hej! prędzej, prędzej, jeszcze prędzej, żwawo
aż się podłoga zatrzęcie kurzawą,
wzburzy spiekota —

maszyna tobą — ty stań się maszyną...
nie myśl o domu, o głodzie, o płaczu...
tkaj...
Tkaj, tkaczu!...

W numerze:

K. SUCHODĘBSKI

KONSTYTUCYJNE ZRĘBY

Od końca XVIII wieku dochodzące do steru grupy polityczne niesłychanie wiele energji poświęcają ustrojowym formułkom. Urzeczywistnia się dążenie do zamknięcia w w możliwie skończonej formie słownej politycznych zdobyczy w zakresie wolności obywatelskich i organizacji państwa. Zjawisko to było tak powszechne w świecie europejskiej kultury, że w pierwszej ćwierci XX. w. dwa tylko państwa miały konstytucję nieskodyfikowaną: Anglja i Węgry. Bardzo ten proces pisemnego krzepnięcia przypomina inny, z przed kilku wieków, również kładący przeolbrzymi nacisk na istnienie piśmiennego dokumentu, normującego stosunki. Spotyka się pewne podobieństwo między średniowiecznym przywilejem i nowoczesną pisaną konstytucją. Ostatnia jednak wykazuje krótszą trwałość od tamtego. Skierowana bowiem jest na takie związanie państwa, iż dozwala mu obracać się jedynie w tych ramach, które nakreśliła. Pisana i skodyfikowana konstytucja XIX i XX stulecia, której pewnym przesłankom rzeczywistość polityczna co nieco zaprzeczyła, doprowadziła do powstania konstytucji niepisanej, do wytworzenia zwyczajów, które uznano za obowiązujące, lub zgoła nawet do faktycznego przekreślenia niemal całej pisanej ustawy zasadniczej z myślą o wytworzeniu w praktyce zasad, mających służyć za podstawę przyszłego ustroju. Pozostaje ten przebieg w mocnym związku z uzyskaniem w państwie przewagi przez coraz bardziej wszędobylski lud parlamentarny lub ze zjawieniem się dyktatorskich indywidualności politycznych, nie uznających dotychczasowych zasad obrotu maszyny państwowej. Widoczne to jest w latach osiemdziesiątych XIX wieku we Francji, od r. 1926 w Polsce, od r. 1933 w Niemczech.

Wydaje się nam, że walka o słowa jest niekiedy przesadna, jeśli pamiętać o tem i owem. Nie chcemy przez to powiedzieć, że słowa są nam zupełnie obojętne. Mogą przecież zawierać pewną treść, projektować działania, oceniane jako szkodliwe dla życia narodowego. Jeśli mówimy o przesadzie słów w konstytucji, to z innych powodów. Słusznie zauważył Orlando, i życie o tem przekonywa, że istotą konstytucji jest praktyka, nie zaś słowa. Normy prawne ustawy zasadniczej należą do tego nielicznego zespołu praw, których wykonywanie opiera się na dobrej woli adresatów norm. Nie zawierają bowiem zwykle sankcji wykonania zastępczego lub ukarania na wypadek ich niezastosowania albo, co częstsze, zastosowania do interpretowanego. Próby zaś budowania takiej odpowiedzialności, jak i rozstrzygania konfliktów, w istocie politycznych, na drodze sądowej nie wydają się dziś dostateczne, tem więcej, że w praktyce zawodzą (przykład niemieckiego i austrjackiego trybunału konstytucyjnego, świeżo zaś hiszpańskiego). Dla tych też powodów najważniejszym, acz niepisanym warunkiem wykonywania nakazów konstytucji jest lojalność i uczciwość dzierżycieli władzy. Wspaniała zaś szata słowna może zadowolić estetyków słowa i tych filozofów prawa, którzy w słowie zdają się nieco talmudycznie widzieć istotę prawa. Nie zadowoli jednak niezawsze logicznej, barwnej rzeczywistości. Trzeba też pamietać, że konstytucje pisane są, jak dotąd, mniej wyrazem potrzeb organizacyjnych państwa, ile raczej opierają się na nieufności do grupy rządzącej.

Współczesny ustrój państwowy jest wypadkową dwóch idei: ładu społecznego i wolności obywatelskiej. Twórcy ustroju cały swój wysiłek kładą w znalezienie takiej budowy, którąby zapewniła współdziałanie obu czynników. Ideałem ustroju politycznego byłby pewnie taki, który umiałby pogodzić maximum praw wolnościowych. Myśl pogodzenia mocnej władzy z wolnością obywatela — wyznawał p. Car 26 stycznia 1934 r. w Sejmie — przyświecała twórcom projektu nowej polskiej konstytucji.

Ponad tą dobrą chęcią góruje jednak fakt, że wszystkie usiłowania równoległego marszu obu idei były, jak dotad, bezskuteczne. Zawsze, w XIX i XX wieku, kończyło się zwycięstwem jednego lub drugiego czynnika, zależnie od sił, działających w społeczeństwie. Ustrój polityczny po ruszeniu z punktu uchwalenia szedł albo ku bezrządnej demokracji parlamentarnej albo ku mniej wolnościowemu cezaryzmowi. Oczywista, że stanów granicznych nie osięgał, gdyż przedtem już zaczęły działać przeciwne siły społeczne.

Obok ideowego czynnika ustroju jest inny jeszcze, mniej wzniosły, o którym nijak nie wypada zapominać. Jest nim dążenie grupy rządzącej do utrzymania się przy władzy, do przeciwdziałania, także przy pomocy norm prawnych (by pominąć już szykany, niegodne wielkich indywidualności). Wydaje nam się, że ustrój o silnym rządzie, za którym się opowiadamy, nie powinien wykluczać opozycji ani ją pozbawiać perspektywy dojścia do władzy. Gdy tej legalnej drogi niema, łatwo o wstrząsy ustrojowe. o 30 czerwca. Jest to niestety smutne zjawisko na prawie całym kontynencie europejskim, światu anglosaskiemu nieznane, że rządzący mają nazbyt wielkie pragnienie utrzymywania się przy sterze państwa. Grupa rządząca może tę swoją potrzebę urzeczywistniać przy pomocy szeregu środków konstytucyjnych: odpowiedniego zbudowania stanowiska głowy państwa i rządu, nieproporcjonalnych wyborów do ciał ustawodawczych i in. Tendencja utrzymania się przy władzy zdaje się tkwić i w styczniowym projekcie konstytucji polskiej.

Jakaż jest struktura polityczna projektowanego ustroju? Na czele Rzplitej stoi Prezydent, będący czynnikiem nadrzędnym, pod którego zwierzchnictwem pozostaje sześć organów władzy jednolitej i niepodzielnej: rząd, sejm, senat, siły zbrojne, sądy i kontrola państwa. P r e z y d e n t wykonywa akty rządowe za kontrasygnatą i uprawnienia osobiste bez kontrasygnaty. Do pierwszych należą: mianowanie członków rządu według własnego uznania (rządy parlamentarne zostają zniesione), zwoływanie i rozwiązanie sejmu i senatu, zwierzchnictwo sił zbrojnych, reprezentacja państwa na zewnątrz, stanowienie o pokoju i wojnie. Do drugich: wyznaczanie kandydata na Prezydenta, mianowanie i odwoływanie czterech, poza marszałkami izb, najwyższych dygnitarzy państwowych (w tem prezesa rządu) według własnego uznania, powoływanie senatorów i sedziów Trybunału Stanu, oddawanie członków rządu pod sąd Trybunału Stanu, stosowanie prawa łaski. Za wszystkie akty Prezydent nie jest odpowiedzialny. Wyboru jego dokonywa specjalne, 80-głowe ciało. Jeżeli Prezydent wskaże własnego kandydata, nie godząc się z uchwałą 80 elektorów, następuje wybór Prezydenta w drodze plebiscytu.

Rząd, złożony z prezesa, i ministrów, kieruje wszystkiemi sprawami państwa, niezastrzeżonemi innym organom. Organizacja rządu zbliża się do systemu kanclerskiego, oddając prezesowi ustalanie wytycznych polityki państwowej i kierowanie pracami rządu. Ministrowie ponoszą odpowiedzialność trojaką: polityczną wobec Prezydenta, parlamentarną wobec sejmu (nie wobec senatu) i konstytucyjną. Ostatnią tylko za umyślne naruszenie prawa: konstytucji, ustawy i dekretu.

Sejm jest powołany do wydawania ustaw i kontroli nad działalnością rządu. Mimo, że rządzenie nie należy do sejmu, może on jednak zgłaszać wniosek o votum nieufności dla rządu. Posłowie są wybierani — według poprawki senatu — w głosowaniu czteroprzymiotnikowem. Proporcjonalność została uchylona. Wynika stad, że przyszła ordynacja wyborcza przyjmie system jednomandatowy. Czy pójdzie za wzorem francuskim z podwójnem głosowaniem, czy też za angielskim z wyborem względną większością — niewiadomo.

Rzucono ostatnio wieść, że opracowujący nową ordynację wyborczą (czytało się, że p. Świtalski sprowadził sobie „nawet" specjalną literaturę) zamierzają na wzór włoski oddać proponowanie kandydatów na posłów w ręce jedynie przedstawicielstw gospodarczych. Takie rozwiązanie w naszych warunkach, mogłoby mieć na celu jedynie zniweczenie partyj pozarządowych i przekształcenie państwa na jednopartyjne, totalne czy władcze, korporacyjne, czego wyrzekali się przecież twórcy projektu. Pomijając, że takie próby ujednolicenia przekonań się nie udawały, że ich wynikiem jest zgaśnięcie odwagi cywilnej, znikczemnienie i służalstwo (Napoleon III), że pozwalają podziemnie, niejawnie rozkwitać tendencjom przeciwnym (świeże próby Mussoliniego dojścia do porozumienia z socjalistami), co przecież utrudnia rządzenie, musimy wyrazić inne jeszcze zastrzeżenie. To samo, które w r. 1927 przed wprowadzeniem porządku korporacyjnego we Włoszech zgłaszał nadaremnie F. Coppola z nacjonalistycznej grupy Corradiniego. Oddanie nominacji kandydatów do sejmu w ręce jedynie zrzeszeń gospodarczych nie oznacza jeszcze budowania państwa syndykalistycznego, powiedzmy, na modłę Jerzego Valois, zwłaszcza, że projekt styczniowy przeniósł ośrodek władzy z parlamentu na Prezydenta. Oznacza jednak uznanie pierwszeństwa elementu gospodarczego w rzeczy politycznej nad wszystkiemi innemi, także politycznemi. Na tę zaś koncepcję marksowskiego materjalizmu pójść nie możemy. Nie od rzeczy też będzie zauważyć, że dzisiejsze korporacjonizmy nie są niczem innem, jak narzędziami dyktatur. Przykłady włoski, austrjacki, portugalski, o którym się dziwnie mało mówi, są nadto przekonywujące.

Tylko w czasie 4-miesięcznej sesji zwyczajnej sejm może obradować nad wszystkiemi sprawami, które marszałek wprowadzi na porządek dzienny. Na przedmiot zaś obrad sesji nadzwyczajnej rząd ma decydujący wpływ. Żadna bowiem sprawa nie może się znaleźć na porządku bez jego zgody. Projekt poszedł tu za przykładem angielskim, nietyle świadomie, co z potrzeb wewnętrzno - politycznych. Podobnie, za przykładem angielskiego speakera wzmocniono stanowisko marszałka sejmu. Parlament więc jest z lekka angielski, choć może być co nieco Badeniowski. Nietylkalność poselska, wspomnienie z czasów walki demokratów z monarchją dziedziczną XIX wieku, jest silnie ograniczona, gdyż tylko do uczestnictwa w pracach sejmu.

Zachowując dwuizbowość, projekt tworzy senat na innych podstawach, niż sejm, co jest słuszne. Jakie są te inne podstawy — niewiadomo, gdyż dotychczasową elitę wstążeczkową wyrzucono. Prez. ma na skład senatu poważny wpływ, mianując 40 jego członków. Ponadto, gdyby w senacie znajdował tendencje, nieprzyjazne dla swej polityki, czego projekt zresztą nie wypowiada, może każdej chwili zarządzić odnowienie składu. Pozbawionym fotelu pozostanie wtedy przynajmniej tytuł senatora. P. Car zarzuca obecnemu senatowi, że jest niesamodzielny. Do nadania mu jednak samodzielności nie starczy, zdaje się, zmienić podstawę wyboru, nie rozszerzając jego kompetencji. Wszakże p. Car nadal pozbawia senat prawa początkowania. Nie jest to jednak tak straszne, jeśli się pamięta, że jedną z podstawowych cech projektu jest silne zredukowanie roli ustawodawczej obu izb. To właśnie pomniejszenie wagi ciał ustawodawczych może je sprowadzić, przy małodusznem operowaniu prawem ustrojowem i przy uporczywem trzymaniu się władzy, do odbywania posiedzeń poduszkowych parlamentu Badinguet'a.

W zakresie ustawodawstwa ma powstać dwutorowość, którą i dziś obserwować można w innym zakresie (dużo orzeczeń sądowych może być pozbawione wykonania przez instancję pozasądową, komitety finansowo-rolne). Projekt wprowadza ustawy i dekrety Prezydenta, jako równorzędne akty ustawodawcze. Nie w tem jednak leży dwutorowość, gdyż sama zasada zastępczego ustawodawcy jest słuszna. Tkwi ona w wyłączeniu z pod właściwości ciał ustawodawczych pewnego zespołu stosunków, którego unormowanie jest wyłączną dziedziną Prezydenta. Należą tu organizacja rządu i administracji rządowej oraz zwierzchnictwo sił zbrojnych. Sejm i senat przy pomocy ustaw nie mogą wkraczać do tego zakresu. Ma sie tu do czynienia z nawrotem do monarchji konstytucyjnej z początku XIX wieku, gdyż prawo dekretowania o tych stosunkach jest wyłączne i nie może być naruszone ustawą. W monarchji konstytucyjnej XIX wieku parlament współdziałał z monarchą jedynie przy powstawaniu norm prawnych, dotyczących obywateli, szczególnie ich wolności i mienia. Natomiast organizacja służb administracyjnych pozostawała wyłączną dziedziną dekretów monarchy. Czy rozwiązanie projektu styczniowego za przykładem włoskim jest właściwe — można wątpić. Prof. Makarewicz zarzuca, że konsekwencją tego stanu rzeczy byłaby redukcja roli ustawodawczej izb, ponadto zaś, że doświadczenia z kodyfikacyjnemi talentami biurokracji nie są świetne. Także i naszej biurokracji. Rozwiązanie jednak projektu daje rządowi znakomite narzędzie polityczne.

Że projekt cały nacisk położył na sprawę organizacji politycznej, widać i z jego stosunku do wolności obywatelskiej. Kiedy w konstytucji marcowej mamy cały ich katalog, aż 18 artykułów o nich mówi, to w projekcie styczniowym rzecz została potraktowana bardzo skromnie. Państwo zapewnia obywatelom możność rozwoju ich wartości osobistych oraz wolność sumienia, słowa i zrzeszeń; nikt nie może być pozbawiony sądu — takie są zapewnienia wolnościowe projektu. Senat dorzucił jeszcze nienaruszalność mieszkania i tajemnicę listową. I na tem koniec. Żadnego wyliczania, Żadnego bliższego określenia. Można wierzyć, że projektodawcy uznali prawa wolnościowe za tak już wrosłe w świadomość wszystkich, za tak same przez się zrozumiałe, że aż konstytucyjne ich warowanie nie jest konieczne.

Jeśli chodzi o mniejszości narodowe, projekt styczniowy zachował wszystko, co im przyznała konstytucja marcowa, która poszła tu dalej, niźli tego wymagał traktat o mniejszościach. Dlaczego jednak to państwo ponad - narodowe gwarantuje konstytucyjnie szczególne i poszczególne uprawnienia narodowym mniejszościom, gdy nie uznało expressis verbis narodu - gospodarza, gdy porzuciło katalog wolności — tego zgoła nie umiemy zrozumieć. Odpowiedzi raczej należałoby szukać na płaszczyźnie politycznej, gdyż logika konstrukcyjna zawodzi. Zawarowaniu konstytucyjnemu praw mniejszości zgoła nie przeszkadza wrześniowa deklaracja naszego ministra spraw zagranicznych w Lidze Narodów. W zakresie tych praw — trzeba to gwoli wyjaśnienia mocno podkreślić — nic ona nie zmieniła, jak nie zniosła naszych zobowiązań międzynarodowych. Dotyczyła jedynie wstrzymania dotychczasowego postępowania w sprawach mniejszościowych przed instancjami międzynarodowemi, nie zawiesiła jednak szczególnych praw, z których mniejszości korzystają wewnątrz państwa. Praw opartych na traktacie o mniejszościach i zeń recypowanych przez konstytucję marcową.

Ustrój polityczny styczniowego projektu najlepiej może charakteryzują dwie tezy: uczynienie z Prezydenta czynnika zupełnie nieodpowiedzialnego i w państwie nadrządnego, w którym skupia się jednolita i niepodzielna władza państwowa — oraz odżegnanie się od poprzedniej sejmowładczej (właściwie konwentu senjorów) skrajności przez stanowcze stwierdzenie, iż funkcje rządzenia państwem nie należą do sejmu. Obie te tezy, rzeczywiście więcej tezy niż normy prawne, leżą u podstaw projektu, dając się sprowadzić do jednej: stworzenie możliwie najsilniejszego rządu. Ośrodkiem jednak całego systemu jest nietyle rząd, co Prezydent (tak się przynajmniej projektuje). Przestał on być szefem władzy wykonawczej, jakim był dotychczas, stając się czynnikiem istotnie, może nawet jedynie, decydującym. Takie przekształcenie roli Prezydenta opiera się na pewnej wierze, o której twórcy projektu jakoś nie wspomnieli. Jeśli bowiem Prezydent ma być czynnikiem tak bardzo nadrzędnym i harmonizującym, to musi być wybitną indywidualnością polityczną — on sam lub pod jego bokiem kto inny. W przeciwnym razie grozi wypaczenie całego systemu na rządy kamaryli. Czy są jakieś środki przeciwdziałania temu? Niestety, nie możemy ich dostrzec wobec całkowitej nieodpowiedzialności Prezydenta.

Proponowany ustrój jest zupełnie swoisty i nie da się podciągnąć pod żaden z dotychczasowych. Nie jest wzorowany na jakichś obcych wzorach i nie jest naśladownictwem cudzych eksperymentów — oświadczał p. Car 26 stycznia 1934 r. Jest więc wytworem polskich mózgów. Jeśli autorzy projektu tak się chełpią nienaśladowaniem, to trzeba jednak żałować, że się tym cudzym eksperymentom nie przyjrzeli. Możeby wtedy inaczej spojrzeli na swój twór, o którym nie wiemy, czy zapewni silny rząd i, co dla nas bardzo wielkiej wagi, czy umożliwi wychowanie jednostki w cnocie obywatelskiej, o której przed wiekiem tyle mówił wielkopolanin Libelt.

Projektowany ustrój przez swój milczący wymóg posiadania silnej indywidualności politycznej, przez swą prezydentokrację zbliża się najwięcej może do systemu Ameryki Południowej. Tak, niestety tej właśnie Ameryki. Jeżeli się nie mylimy w ocenie, doświadczenia życia państwowego południowo-amerykańskiego nie są zachęcające, by — nie naśladując — je naśladować. Doświadczenie zaś północno - amerykańskie też nie przemawiają za opieraniem całego ustroju na przesłance silnej indywidualności. Przecież i tam władza dostawała się częściej w ręce miernot, za któremi stały zwykle inne interesowne indywidualności. Uważamy, że ustrój należy budować dla ludzi przeciętnych, bez wiary w genjuszów. Rząd przeciętnych wartości, jednak wartości, da sobie radę, byleby wiedział, czego chce. Jest też naszem przekonaniem, że silne indywidualności, których obyśmy mieli cały szereg, w każdym systemie prawno - politycznym wysunąć się potrafią na przywódców, jeśli chcą. Czy trzeba się tu odwoływać do doświadczeń historycznych? Jednak opieranie systemu politycznego w założeniu na potentatach woli nie jest ani mądre ani trwałe.

Prezydent jest całkowicie nieodpowiedzialny za swe akty. Tak zwykle i dotąd bywało, gdyż odpowiedzialność ponosił kto inny. Jednak w projekcie styczniowym jest coś bardzo specjalnego. Jest cała, liczna, niesłychanej wagi grupa aktów, za które nikt, dosłownie nikt nie ponosi odpowiedzialności. Nawet niewiadomo, czy Prezydent będzie przysięgą obowiązany do przestrzegania konstytucji. Pewna jednak odpowiedzialność jest. Projektodawcy widać, nie zapomnieli (toć zawsze deklamowali), iż odpowiedzialność jest podstawą życia społecznego. Wobec czynnika jednak nadrządnego w państwie przenieśli ją na teren metafizyczny, czyniąc Prezydenta odpowiedzialnym wobec Boga i historji. O pierwszej odpowiedzialności wiemy z katechizmu i ona istnieje bez względu na to, czy p. Car o niej napisze czy nie. W tej deklaracji niektórzy katolicy — społeczni z Lublina — widzą triumf katolicyzmu: chyba żaden tekst prawny w Europie - pisze („Prąd“, 1934) - nie zawiera takiego wyznania wiary i uznania suwerenności Boga nad państwem i rządzącymi. Smucimy się bardzo, że tej uproszczonej postawy, nazwijmy ją statycznego katolicyzmu, przyjąć nie możemy. O wypełnieniu bowiem Zakonu kazania na górze mówią czyny, nie formułki, pomijając chodzenie w procesjach.

Projekt styczniowy unika starannie stwierdzenia faktu, że chce być konstytucją państwa narodu polskiego. Mówi o Rzplitej wszystkich, o państwie wszystkich jego obywateli. Czy to jednak nie jest reminiscencja atomizującej ideologji Rousseau'a, którą przecież p. Car odrzucał 26 stycznia 1934 r.? To państwo wszystkich obywateli jest jakiemś państwem ponadnarodowem. To też projekt nie oświadcza, kogo uważa za dzierżyciela samego tytułu władzy. Społeczni katolicy (z Lublina) ucieszyli się bardzo takiem porzuceniem nacjonalistycznej herezji, jak i państwowej o najwyższem (?) dobru. Boć przecież zjawił się wreszcie, pogląd słuszny, że państwo to wspólne dobro wszystkich. Państwo — ich zdaniem — jest instytucją prawną prawa przyrodzonego i dlatego jest ponad narodem. Niestety, o premisie nic powiedzieć nie umiemy, gdyż ani nie wiemy, ani nie wierzymy w istnienie jakiegoś prawa przyrodzonego. Czy zaś naród ma w garści państwo, czy państwo jest ponad narodem — to rzecz trochę terminologiczna i co nieco polityczna.

Z odrzucenia przez współtwórcę projektu, p. Cara, ideologji Rousseau'a i z nadrzędności Prezydenta, który przestał być organem państwa, stając się, jak monarcha, zwierzchnikiem wszystkich jego organów, zdawałoby się, że właśnie Prezydent jest owym dzierżycielem tytułu władzy, że więc jest czynnikiem pierwszym i ostatnim. Tak jednak nie jest. Ci „wszyscy“ mają jednak wcale dużo do powiedzenia. W tym samym dniu, co p. Car, 26 stycznia 1934 r., całkiem sprzecznie z nim głosił prof. W. Makowski z trybuny sejmowej, że w projekcie zbiorowość obywateli występuje jako źródło decyzji wiążącej. Tak też jest w istocie. Mimo ekwilibrystyki p. Cara, ci wszyscy są przecież ostatecznymi — według projektu — sędziami w sporach politycznych między najwyższemi czynnikami w Rzplitej. Ci wszyscy przecież wybierają Prezydenta, gdy co do niego nie osiągną zgody ustępujący prezydent i kollegjum elektorów. Ci wszyscy przecież rozstrzygają głosowaniem spór polityczny, gdy Prezydent rozwiąże sejm po jego uchwale, żądającej ustąpienia rządu. Projekt więc, nie wiedząc co zrobić z narodem, stworzył wszystkich; dając Prezydentowi zwierzchnictwo, oddał je tym wszystkim, budując republikę plebiscytową.

Projekt lada chwila ma być przekształcony uchwałą izby poselskiej na ustawę zasadniczą. Czy się jednak nią stanie, zależy nie od głowaczy i nogaczy sejmowych, lecz od Marszałka Piłsudskiego. Czy decyduje się uznać uchwalony ustrój? Marszałek życzył sobie uprzedniej, publicznej rozprawy nad projektem. Dyskusja się prawie nie odbyła. O tyle zaś, o ile się odbyła, zabłysła nazwiskami Starzyńskich, Makarewiczów, Komarnickich. Ich jednak uwagi nie poszły po p. Carowej linji nieodpowiedzialności. Czy zaś spełnił się drugi warunek Marszalka Piłsudskiego w dziedzinie reformy ustroju, niechże czytelnik osądzi. O tym warunku pouczał nas w r. 1929 w „Chicago Tribune“ p. Adam Koc: Marszałek pragnie niedopuścić do wprowadzenia nowej konstytucji, dopóki wyborcy nie zdadzą sobie sprawy, że metody obecnego regime'u polepszyły ogólną sytuację.

JÓZEF CIEŚLIŃSKI

Nauka polska na przełomie

Współczesność cechuje zatracenie równowagi we wszystkich przejawach życia. Jest to niewątpliwie oznaką dokonywujących się przełomów. Wyłaniają się nowe zupełnie kierunki, świat stary idzie do grobu. Nowe na gruncie polskim prądy walczą dzisiaj z niezwykłem napięciem o zwycięstwo. O doniosłości przemian, które niosą ze sobą walczące kierunki, świadczy już choćby sam fakt, że niema bodaj dziedziny życia, gdzieby nie wrzała walka, i nic dziwnego, boć te prądy, które dziś czy jutro zmierzą się w decydujący sposób, są zupełnie przeciwne.

U podstaw mamy odrębne odmiany kultury i zupełnie odmienny światopogląd. Pogodzić ich się nie da w żaden sposób, może być tu jedynie mowa o walce, o zwycięstwie jednego z tych prądów.

Każdy wywnioskuje łatwo z powyższego, że chodzi tu o prąd narodowy i t. zw. „państwowy“ w jak najszerszem znaczeniu. Dwa te prądy nie ominęły żadnej dziedziny i weszły nawet na teren dla nich może najmniej dostępny — do nauki. Nie trzeba tego oczywiście rozumieć w ten sposób, jakoby one miały coś do powiedzenia w którejkolwiek dyscyplinie, broń Boże! Nauka jest jedna a celem jej jest prawda, lecz weszły te prądy pośrednio na teren nauki — odbiły się na jej organizacji wewnętrznej, zewnętrznym ustroju i uczonych. Na tle tej walki systemów pozwolimy sobie dzisiaj zilustrować stosunki, panujące w świecie naukowym polskim.

Pierwszem zjawiskiem, które rzuca się w oczy, to fatalna sytuacja materjalna nauki polskiej. Mamy wybitnych uczonych, nawet genjalnych twórców, lecz warunki, w jakich pracują są wprost opłakane. Nasz uczony, szczególnie młodszy, nie posiada książek, brak mu bieżącej literatury przedmiotu, a brak poprostu dlatego, że nie może ich kupić. Biblioteki i pracownie nie nie mogą pomóc, gdyż ich finansowa sytuacja jest beznadziejna. Są seminarja uniwersyteckie, które otrzymują niekiedy roczną dotację, wystarczającą na zakupienie jednej książki. Praca naukowa musi w podobnych warunkach oczywiście być zahamowana. Taka bibljoteka uniwersytecka w Poznaniu, która przed wojną posiadała niezwykle bogaty dział literatury bieżącej oraz ogromną ilość czasopism naukowych, od pewnego czasu skreśla jeden abonament po drugim, co musi prowadzić, chcąc nie chcąc, do szkodliwego zdekompletowania. Na wszelkie wołania i prośby dają wszędzie jedną odpowiedź: kryzys, brak pieniędzy.

Nie lepiej, a może jeszcze gorzej przedstawia się sprawa z wydaniem pracy naukowej, lub odpowiedniego czasopisma. Tu panują zupełnie anormalne stosunki. Rozmawiałem niedawno z pewnym profesorem, redaktorem bardzo poważnego czasopisma naukowego, który, na moje pytanie o stan wydawnictwa odpowiedział w tym sensie: „Ano pcha się, każdy autor płaci za druk swego artykułu, a stronę redakcyjną prowadzę sam bezinteresownie“. Więc uczony polski pisze rozprawę i jeszcze za wydrukowanie jej sam musi płacić. Ciekawe doprawdy z czego on żyje? Normalnie biorąc, autor otrzymuje zawsze honorarjum za artykuł. Dzisiaj nie dadzą honorarjum, nie wydrukują za darmo, ale nawet płacić za to każą. Haec est veritas pura!

Dalszem ogniwem tragicznych chwilami stosunków są sprawy z ekspedycjami naukowemi i — paszporty. Obserwujemy takie fakty, jak np. wyprawy do bardzo nieraz odległych krajów, a na zbadanie samej Polski brak pieniędzy. Jedynie Pomorze cieszy się jaką taką opieką, gdyż Instytut Bałtycki dokonywuje wprost podziwu godnych rzeczy, chociaż i tam podobno ostatnio ciężej z pieniędzmi. Za to z wyjazdem zagranicę polskiego uczonego, to chyba najgorsza sprawa. Krąży wersja, że łatwiej bokserowi przejść przez igielne ucho, niż uczonemu przez granicę. W cierpkiej tej ironji dużo jest jednak prawdy.

Widzimy więc, że polskie instytucje naukowe ledwo wegetują. Oczywiście są wyjątki, ale tych jest znikoma ilość. Na te wegetujące instytucje w zeszłym roku akademicki spadł nowy cios pod postacią zniesienia kilku katedr. Między innemi zniesiono katedrę kultury polskiej w Krakowie — a jednocześnie mówi się podobno o projekcie utworzenia katedry kultury chińskiej w Warszawie.

Specjalny rozdział trzebaby poświęcić młodemu narybkowi naukowemu, szerokim masom studentów. Poza powszechnie znanem, ciężkiem położeniem materjalnem ogółu studentów, zwrócić należy uwagę na jeden fakt, a mianowicie na system podwyższania opłat. Wskutek tego zahamowano zupełnie dopływ młodzieży z uboższych warstw, zwłaszcza ze sfer ludowych i robotniczych. Zamknięto więc podwoje uniwersyteckie dla biednego elementu, bez względu na zdolności. Tym znów, którym udaje się zapisać na uniwersytet, często czas upływa na szukaniu pracy zarobkowej zamiast na studjowaniu.

Przyszli naukowcy po otrzymaniu dyplomu natrafiają odrazu na brak książki. Na wyjazd zagranicę oczywiście niema pieniędzy; posiadają je natomiast Żydzi. Szczęściem napływ ich jest stosunkowo mały, inaczej uniwersytet i nauka miałaby niebawem samych Żydów, którzyby patrzyli na Polaków (i słusznie) jak na barbarzyńców.

Takie byłyby mniejwięcej stosunki w nauce polskiej. Są one niewątpliwie opłakane. Wszystkiemu ma być winien kryzys. Czy też niema doprawdy innych winowajców?

Już na początku artykułu zwróciliśmy uwagę na walkę dwóch systemów — t. zw. „państwowego“ i narodowego. Nie zamierzamy wdawać się w ocenę ich dążeń. Nam chodzi tylko o wykazanie skutków bezpośrednich i pośrednich, które odbijają się na samej nauce polskiej, a są wynikiem walki wspomnianych prądów. Aby jaśniej sprawę przedstawić, musimy jednak sięgnąć nieco głębiej.

Otóż t. zw. obóz „państwowy“ w pierwszym rzędzie dąży do utrzymania się przy władzy. Jest to rzeczą zupełnie naturalną dla podobnego pokroju ruchów. Musi z konieczności przewartościować pewne wartości i nastawić je pod kątem widzenia własnego bytu. Nie trzeba chyba dodawać, że jest to punkt widzenia nawskroś doczesny, który neguje wartość wieczną i trwałą, a wysuwa na pierwszy plan wartość względną, przypadkową. Motorem jego działań i probierzem wartości jest on sam, a nie coś nadrzędnego. System ten jest sam celem w sobie.

Wyłożywsze te podstawowe rzeczy z zakresu struktury systemu zwanego u nas „państwowym“, będziemy mogli względnie dobrze zrozumieć prawie wszystkie jego posunięcia. Jeżeli teraz dostosujemy naukę do wypadkowej wykresu linij, służących do utrzymania się systemu, wówczas zauważymy, że nie stanowi ona odpowiedniej wartości dla niego. I tu właśnie mamy odbicie się walki dwóch na początku cytowanych systemów.

Sama nauka nie przedstawia realnej wartości w stosunku do systemu, stanowią natomiast tego rodzaju wartość, że się tak wyrazimy, „akcesorja nauki“, a mianowicie jej zewnętrzna organizacja, materjał ludzki.

Stworzono więc nową ustawę akademicką, która ujęła w karby uczonych, studentów, oraz instytucje naukowe. Rozbudowano administrację, pomnożono etaty urzędnicze, znosząc jednocześnie katedry. Dotacje na jakiś instytut uniwersytecki są minimalne, a równocześnie organizacje służące lub mające służyć systemowi otrzymują subwencje, dochodzące do poważnych kwot. Np. „Myśl Mocarstwowa“ lub nawet komunizujący „Legjon Młodych“. Widzimy więc, że zasadniczo pieniądze są, lecz obraca się je na cele, które mają dla dzisiejszego systemu większe znaczenie.

Specjalny dział stanowią t. zw. „virements“ w pozycjach budżetowych zakładów. Przeniesienie wydatków z jednej grupy do drugiej jest niezwykle utrudnione, bo potrzebuje zatwierdzenia ministerstwa, choćby to była kwota 1 złotego. Z pozycji przeznaczonej np. na materiały piśmienne, nie można nic obrócić na zakup lub oprawę książek. Kwota niewyczerpana w danej grupie zasadniczo przepada. Powstają takie rzeczy, że podczas, gdy na zakup książki nie ma często ani grosza, w tym samym czasie znajduje się pozycja o zawrotnych sumach, bo 70 tys. na — urządzenie rektoratów. Są to wyniki kunsztownej i misternej biurokracji, stworzonej przez p. Jędrzejewicza w myśl zresztą założeń samego systemu. Tu widać jak na dłoni pierwsze skutki działania prądu oznaczonego mianem „państwowy“.

Idźmy dalej. Stwierdziliśmy, że naukowe czasopisma rozporządzają minimalnemi środkami finonsowemi, a dotacje za strony ministerstwa są znikome. Natomiast prasa polityczna kierunku „państwowego“ pochłania olbrzymie sumy. Nawet „Wiadomości Literackie“ korzystają miesięcznie z dość wysokiej subwencji, większej niż niejedno czasopismo naukowe w ciągu całego roku. A taki choćby „Dziennik Poznański“ wziął (wprowdzie jak sam tłumaczy tytułem pożyczki, ale wątpliwe, czy taką pożyczkę otrzymałby np. „Kurjer Poznański“), coć ponad 100 tys. zł. Publiczną też tajemnicą jest wysoka subwencja dla wileńskiej prasy „sanacyjnej“. Widzimy tu znowu zasadniczą taktykę systemu. Widzimy, że prowadzi on swoją politykę bardzo konsekwentnie i zdecydowanie. Jedynie dla zachowania pozorów mówi się, że wszystkiemu winien kryzys.

Na zakończenie chcielibyśmy jeszcze przyjrzeć się przedewszystkiem reakcji samych uczonych na obecny system. Musimy przedewszystkiem zapamiętać książkę w sprawie obrony autonomji, wydaną przez profesorów. Świadczyła ona o wielkiej trosce, jaką żywią do nauki, jednak mówiąc językiem systemu t. zw. „państwowego“ grzeszyła niezrozumieniem wartości, jakie przypisują temu prądowi jego zwolennicy. Wspomniana książka odrazu postawiła piszących w niej profesorów w przeciwnych szrankach, chociaż trzeba przyznać zupełnie mechanicznie. To załamało jednolity rzec można front naukowców. Walcząc o interes samej nauki spotkali się z zarzutem, że występują w imieniu przeciwnego systemu, to znaczy narodowego.

Na uniwersytetach uspokoiło się. Wszyscy ucichli i wyczekują przyszłości, biadając w czterech ścianach nad nędzą nauki. Są jeszcze jednak uczeni „sanacyjni“, jakżeż oni reagują na przytoczone fakty?

O ile można zorjentować się, reagują dwojako: jedni, najmniej liczni, gorący zwolennicy systemu „państwowego“, pochwalają wszelkie pociągnięcia. Dla ugruntowania zwycięstwa swego prądu gotowi są poświęcić wszystko, coby przyczyniło się do pognębienia prądu przeciwnego, choćby przyszło z braku pieniędzy zamknąć uniwersytety i szkoły. Wielką ich zaletą jest szczerość wyznawanej doktryny. Podobni są do owego słynnego prokuratora bolszewickiego, który oświadczył, że sądy nie istnieją po to, by szukać objektywnej prawdy, lecz aby służyć idei bolszewickiej.

Takich jednak uczonych w Polsce mamy mało. Większość dla pociągnięć systemu szuka pozorów na modłe zachodnią i nędzę nauki tłumaczy kryzysem, a na argumenty o szafowaniu pieniędzmi na inne cele zwykle macha ręką. W rzeczywistości sami tolerują to szafowanie i uznają, czem ostatecznie zbliżają się do poprzednich. Taki pogląd uczonych na naukę ma swoje głębokie podłoże, jest wyrazem specjalnej kultury, właściwej oczywiście samemu systemowi. W ramach tej kultury, jak widzieliśmy, zanika wszelka indywidualność, którą niszczy się na każdym kroku, wszędzie interwenjuję państwo i inicjatywa jednostki ginie zupełnie. Zostaje tylko bezmyślnie, może karny zespół jednostek, czyniących bezwolnie to, co zgóry nakazano w imię systemu. Prawdziwa kultura jednak tego nie znosi.

Na zakończenie pragniemy podkreślić raz jeszcze dwa zasadniczo niebezpieczne zjawiska. Pierwsze to brak materjalnego poparcia dla pracowni naukowych i uczonych, wynikających z założeń systemu „państwowego“. Traci na tem nauka, wchodzac w pierwszy okres upadku. Po drugie uznanie tego systemu i jego środków przez szereg wybitnych uczonych, wskazuje, że przyjęli oni, czy posiadali już umysłowość oraz kulturę właściwą samemu systemowi.

Dochodzimy obecnie do punktu wyjścia naszych rozważań, a mianowicie, że walczą ze sobą dwa przeciwne prądy. Ich walka odbija się niekorzystnie na samej nauce, grożąc upadkiem, a przedstawicielom nauki i kultury przyjęciem i nasiąknięciem kulturą systemu, która grawituje wyraźnie ku wschodowi. Grozi to zarazem Polsce oderwaniem się od świata zachodniego, a tem samem przyszłość nauki stoi pod znakiem zapytania.



A. Kędzierski. „Wiejska dziewczyna“.



Rys. Wit. Gawęcki

— Wysoki sądzie!

— Oskarżony Meller jest z zawodu tkaczem, Meller jest znakomitym fachowcem, Meller jest świetnym tkaczem, Meller dobrze zarabia, bo ma dobrą posadę.

— Wysoki sądzie! Kiedy Mellera zamknięto w więzieniu śledczem, miałem zaszczyt wysoki sąd prosić w imieniu jego pracodawców o zwolnienie, albowiem Meller jest doskonałym tkaczem i Meller jest niezastąpiony. Jego pracodawcy — fabrykanci prosili o uwolnienie go z więzienia śledczego, albowiem inaczej musieliby sprowadzić fachowca z zagranicy. Meller nie potrzebował należeć do Stronnictwa Narodowego, bo mu to do jego osobistych interesów konieczne nie było. A jednak Meller znalazł się na ławie oskarżonych . . .



Kpt. Leon Gregorzak



Franciszek Laskowski



Adw. Zieliński



Adw. Klikar

Oto są słowa jednego z obrońców w procesie łódzkim, który się właśnie zakończył. Mellera, jednego z Młodych S. N., sąd uwolnił, podobnie jak uwolnił od winy i kary jeszcze 11 oskarżonych przywódców i działaczów narodowej Łodzi: adw. Kowalskiego, kpt. Grzegorzaka, por. Podgórskiego, Czernika, Stolarka, Warchoła, Krajewskiego, Pawłowskiego, Chojnackiego, Kożuchowskiego, Tatorę.



Adw. Pełka



Stefan Podgórski

Oprócz Czernika, który od 30 zgórą lat pracuje niezachwianie w ruchu narodowym, wszyscy oskarżeni są działaczami młodego pokolenia i najświeższą warstwą dzisiejszego ruchu narodowego. Wszyscy oni przyszli do ruchu narodowego, a potem na ławy oskarżonych, albo wprost z fabryki, albo od rodziców, którzy po fabrykach pracowali lub jeszcze pracują. Wszystko to synowie Łodzi robotniczej, choć dzisiaj część z nich należy już do t. zw. wolnej inteligencji.

Proces łódzki odsłonił nietylko metody walki z obozem narodowym. Proces łódzki odsłonił również istotę i treść idei narodowej, która na terenie Łodzi stała się z w y c i ę s k ą i zwycięsko kroczy naprzód — wbrew przeszkodom. Okazuje się, że zwycięstwo ruchu narodowego w Łodzi robotniczej nie jest zwycięstwem płytkiej demagogji i powierzchownym sukcesem politycznym, który minie tak, jak minęło i skończyło się w Łodzi tyle tego rodzaju sukcesów.

Okazuje się, że zwycięstwo ruchu narodowego w Łodzi sięgnęło w głąb duszy i płynie odtąd falą, której już nic powstrzymać nie zdoła.



Adw. Kowalski



Adw. Nowodworski



Adw. Szwajdler

Oskarżony Meller. to nie jest przypadkowy członek jakiejś pierwszej z brzegu organizacji politycznej czy partji. Jego koledzy współoskarżeni i wszyscy ci, którzy przez osiem dni z zapartym tchem śledzili przebieg procesu, to nie są ludzie, którzy szukają w polityce taniej rozrywki, albo taniego a dobrego interesu.

Oni i 100 tysięcy Polaków — chrześcijan. zamieszkujących stolicę przemysłu polskiego, stanowią dzisiaj czołową kolumnę armji narodowej. Czy wiedzą, czego chcą? A może ich porwała tylko fala ot tak? Niewątpliwie nie. Niewątpliwie ci ludzie wiedzą czego chcą, wiedzą, o co idzie w Polsce walka i jakie jest ich w tej walce miejsce i obowiązek.

Na ławie oskarżonych nie widziało się ani przygnębienia ani zmęczenia po siedmiu miesiącach więzienia śledczego. Ze wszystkich twarzy promieniala zuchwała ,ale spokojna duma i wiara.

Kiedy ich pytano, na czem polega program obozu narodowego w Polsce, każdy udzielał odpowiedzi jaką dać potrafił i na jaką go stać było. Było w niejednej odpowiedzi może nawet trochę naiwności, niejeden nieudolnie przyoblekał w słowa swoje przekonania, ale wszyscy dawali zgodnie świadectwo prawdzie i wszyscy zeznaniami swojemi budzili szacunek do siebie i do sprawy.

To samo obrońcy. O bezpłatnego obrońcę, któryby rzucił na osiem dni pełnych swoją kancelarję i bronił oskarżonych, narażając niewątpliwie bezpośrednio i pośrednio swoje własne interesy, jak wiadomo, bardzo trudno dziś. A przecież znalazło się obrońców aż dziesięciu, w tem ośmiu z samej Łodzi. Oto ich nazwiska:

Szwajdler, Pełka. Grochowski, Bryński, Klikar, Kosakowski, Iliński, Brzeziński z Łodzi, Zieliński, Nowodworski i Stypułkowski z Warszawy. Rembieliński z Pabjanic.

Nazwiska te mówią dużo, mówią przedewszystkiem — i to jest fakt — że są również synowie łódzkiego ludu robotniczego. A trzeba było słuchać ich przemówień. Miało się wrażenie, że to przemawiają w togach adwokackich nie adwokaci, ale przywódcy ruchu i szermierze idei Nie wiem nawet, ilu z nich jest członkami Stronnictwa Narodowego, ale wysłuchawszy ich przemówień twierdzę, że każdy z obrońców w procesie łódzkim bronił nietylko oskarżonych, ale bronił rówież swojej własnej sprawy i swoich najosobistszych przekonań ideowo - politycznych.

Demagogji i frazesów tembardziej w przemówieniach tych nie było ani śladu. Nie było również patosu ani uniżonych próśb. Była prawda, było dużo prawdy i dużo wskazań zasadniczych nietylko dla Polaków w Łodzi, ale także dla Polaków w całej Polsce.

I oskarżeni i obrońcy stwierdzali bez omyłki:

Nieprawdą jest, jakobyśmy byli poto w Polsce, by walczyć cegłami z policją.



Ryszard Szczęsny



Aleksander Stolarek

Nieprawdą jest, jakobyśmy byli po to w Polsce, by burzyć porządek prawny państwa.

Nieprawdą jest, jakobyśmy byli poto w Polsce, by podniecać kogokolwiek do niepoczytalnych wystąpień.

A prawdą jest, że wszystko, co czynimy, czynimy w granicach p r a w a, że wszystko, do czego zmierzamy, służyć ma s p r a w i e P o l s k i, że wszystko, co głosimy jest w i a r ą i p r z e k o n a n i e m c a ł e g o n a r o d u.

Prawdą jest, że z drogi, którą obraliśmy, nie zejdziemy aż do zwycięstwa.

Echa, które dochodziły z sali sądowej od ławy oskarżonych i od ławy obrońców śledził uważnie robotnik łódzki i ani na chwilę się nie zawahał, stając całą duszą po jej stronie.

F. F.



Adw. Stypułkowski



Adw. Rembieliński



Jan Chojna



Adw. Brzeziński

K. DOBRZYŃSKI

Naprzód marsz!

Zawarczał werbel w głuchy grzmot —
miljona kroków równych stuk
zahuczał w bruk . . .
o szary bruk!

Pośród niezłomnych naszych rot,
niema wahania ani luk,
lecz wichrów lot,
płomieni splot!

Zatrząsł się bladym strachem wróg!
Szarą jak popiół zakrył twarz.
Naprzód marsz!!!

Hej!
Rozwinąć tam sztandar nasz tęczowy!
Ręce na młotach stalowych zacisnąć —
zniżyć pochodnie, niechaj wkrąg rozbłysną
naszego buntu ogniem purpurowym!
Zewrzeć się w cement, w błyskach czynu kielni,
razem, a silnie równo — nie wybiegać —
krok ten zawiedzie nas do jutra brzegu.
Unieśmiertelnieni!

Równaj!
Zatętnił w piersiach serca dzwon,
moc naszych rąk,
na jeden ton —
Z krtani się wydarł gromów śpiew:
Na ojców krew,
prastary zew
zaklnijmy burzę w szczyty tarcz.
Naprzód marsz!!!

Czyż mamy pełzać jak gady wśród piasków,
czyżby nam serca odkryły się pleśnią?
Zagrzmijmy pieśnią!
W górę, na szczyty w szkarłatnych lun blasku,
niech się hymn życia w obłokach rozśpiewa.
Lewa!!!
Rozkruszmy stare i zmurszałe lądy,
trzeba nam piersią przebić skały mroków,
przyspieszyć świty odwiecznych wyroków,
nowe pojęcia, nowe wskrzesić sądy.
Niech się wróg pieni, i zgrzyta, i miota,
i niech się gwałtu i przemocy ima,
niech się złym jadem oślini ciemnota —
nas nic nie wstrzyma!...

Błyszczących mieczów rozbrzmiał szczęk!
Do walki wyszedł cały lud.
Na znój! Na trud!
Po jutra cud!
Z miasta i wiosek ciemnych wnęk. —
Obcy nam postrach, obcy lęk.

Zawarczał werbel w głuchy grzmot.
Miljona kroków równy stuk,
zahuczał w bruk,
o szary bruk!!!
Porwał się wicher lotnych szarż!
NAPRZÓD MARSZ!!!

K. TORSKI

Na marginesie „Gospodarki narodowej"

W najpoważniejszych organach prasy narodowej ukazały się dotychczas trzy recenzje książki Adama Doboszyńskiego pt. „Gospodarka narodowa". W „Mysli Narodowej" z dn. 9. XII. 34. pisał Marjan Szarzyński („O godziwy ustrój gospodarczy"), w „Głosie" z dn. 5. I. 35. M. K. D. z Krakowa („Gospodarka narodowa"), w „Gazecie Warszawskiej" z dn. 8. I. 35. B. W. („Cenna książka"). Pierwsze dwie z nich ograniczają się tylko do ogólnikowego przedstawienia poglądów autora, przyczem do książki ustosunkowują się całkowicie bezkrytycznie. Recenzent „Gazety Warszawskiej" wtrąca pewne zastrzeżenia, ale i z jego sądem o książce absolutnie zgodzić się nie można. Nikt dotychczas nie pokusił się o głębsze, a krytyczne wniknięcie w założenia myślowe autora. A jednak jest to konieczne choćby ze względu na to, że jak stwierdza B. W., „książka Adama Doboszyńskiego... spotkała się z nadzwyczaj przychylną oceną w obozie narodowym".

„Niniejsza książka — pisze autor — przeznaczona jest dla ludzi, którzy szukają ulepszenia tego świata na drodze wskazań chrystjanizmu. Argumentów swoich nie będzie więc szukać w djalektyce historycznej, ani w kategorjach czystego rozumu, lecz w objawionych nam prawdach o człowieku, oraz w ustalonych przez Kościół zasadach moralności chrześcijańskiej. Autorytetem, na którym się oprze, będzie św. Tomasz z Akwinu, nietylko dlatego, że był wielkim myślicielem, ale przedewszystkiem dlatego, że był Święty".

Bardzo to słuszne założenie. Niewątpliwie oparta na religji moralność winna nam wskazywać cele ustroju społecznego. Drogi jednak, jakiemi można te cele osiągnąć, muszą się oprzeć na poznaniu intelektualnem związków między zjawiskami społecznemi, na zrozumieniu warunków bytowania ludzkiego na ziemi . Do tego służą nauki, jeśli chodzi o stosunki gospodarcze — ekonomika. Jeśli się reformy ustrojowe nie oprą na takiem poznaniu, to nie mogą osiągnąć zamierzonych celów, przeciwnie, może zupełnie sprzeczne z postulatami moralności, skutki będą ich udziałem. Kościół katolicki wyraźnie stoi na tem stanowisku, podkreślając możność poznania prawdy drogą rozumową. Święty Tomasz zaś napewno oburzyłby się, gdyby się dowiedział, że autorytetem naukowym jest dzięki swej świętości, a nie wielkości myśli. Świętość nie jest dziełem rozumu i nie ma żadnego związku z wartością intelektualnych prawd i wiadomości, przez daną jednostkę głoszonych. Niejeden święty sądził, że słońce się obraca koło ziemi i nic to nie przeszkadzało jego świętości. Czy wobec tego będzie nas autor zachęcał także do przyjęcia tezy o nieporuszalności ziemi? Co innego są prawdy moralne, polegające na wierze, a co innego prawdy intelektualne, tyczące się w tym wypadku środków realizacji celów moralnych przez ustrój społeczny, zakresu możliwości realizacji tych celów w warunkach ziemskich i wyboru drogi, możliwie najbardziej zbliżającej nas do tych celów, o ile system ich nie może być w całej swej rozciągłości równocześnie wcielony w życie. Tymczasem autor pragnie przebudować ustrój gospodarczy w myśl wskazań moralnych, nie licząc się z rzeczywistością, tak jak ona się przedstawia w naukowem poznaniu.

Zasadniczemi pojęciami w nauce ekonomiki są pojęcia wartości i kapitału. Od tego, co się pod niemi rozumie zależą wszystkie zasadnicze rozważania i ich wyniki. „Prawo do własności wzrasta w stosunku do włożonej pracy", pisze nasz autor w odniesieniu do dóbr kapitałowych. Zdanie to, sformułowane jako zasada, kończy ustęp o własności. Możnaby się na to zgodzić w całej pełni i to bardzo chętnie, jeśliby to „prawo" rozumieć jako p r a w o m o r a l n e. Naszem dążeniem przecież jest, żeby człowiek pracujący był właścicielem. Tymczasem jednak zasadę tę poprzedza zdanie:

„Towar, którego cała wartość, praktycznie biorąc, składa się z pracy (bo cena surowca i maszyn wyraża naogół też tylko wartość włożonego w ich produkcję wysiłku), powinien więc przypadać automatycznie na własność temu lub tym, którzy go wytworzyli".

Zdanie to wyraża się jasno o własności kapitału, a jak z niego wynika, według autora, wartość — to praca. Wobec czego dalej idąc „kapitał powstaje drogą pracy, jest niejako skondensowaną pracą..." Powyższe poglądy autora, wyprowadzone rzekomo z dzieł św. Tomasza, stawiają go w tych decydujących o całym dalszym toku myśli problemach (np. o kwestji odsetek) bardzo niedaleko zwalczanego zresztą ogromnie przez niego Marxa, czegoby autor napewno nie chciał. Są one całkowicie błędne, dawno w nauce wyjaśnione. Wynikają mianowicie z zapomnienia, że kapitał do swego powstania wymaga również współdziałania przyrody, a przedewszystkiem, jak przy ziemi, przy dobrach kapitałowych przyczynami wartości są ich ograniczoność i zapotrzebowanie. Poglądy te zresztą są w zasadniczej sprzeczności z poglądami św. Tomasza, który w pełni uznaje prawo własności nietylko ziemi, żądając jedynie rozdziału nadwyżki owoców własności, pozostających po pokryciu potrzeb właściciela według wymogów stanu, między potrzebujących w drodze jałmużny.

Należy się zastanowić, czy autor rozumie psychologję potrzeb człowieka.

„W miarę postępu techniki możemy sobie wyobrazić teoretyczną możliwość, że za paręset lat np. pracą połowy ludzi, trwającą dwie godziny dziennie, będzie można zaspokoić potrzeby całej ludzkości".

Charakterystyczne jest to wyobrażenie sobie zaspokojenia wszystkich potrzeb ludzkich. Raj na ziemi! Autor ujmuje potrzeby objektywnie i statycznie, zupełnie zapominając o tem, że są one subjektywne i dynamiczne, że nigdy ich zupełnie nie da się zaspokoić, a z chwilą gdy zostaną zaspokojone jedne, natychmiast pojawią się dalsze. Postęp techniczny najwspanialszy nawet, nigdy nie będzie w stanie zdystansować w wyścigu ludzkich potrzeb. Nieograniczoność ich co do liczby jest jednem z założeń ekonomiki. Dlatego katolicyzm obiecuje pełną szczęśliwość dopiero w niebiesiech.

Posłuchajmy, co autor mówi o liberaliźmie i kapitaliźmie.

„Liberalizm jest... t. zw. „światopoglądem". W dziedzinie gospodarczej, stosując zasadę niekrępowanej niczem wolności indywidualnej, prowadzi do ustroju zwanego kapitalizmem. Charakterystyczną cechą tego ustroju jest skupianie się własności w niewielu rękach".

W dalszych rozważaniach autor stwierdza, zapewne mimowiednie za Marxem, że musi nastąpić zakończenie procesu monopolizacji i koncentracji przez dojście do ustroju, który stara się zrealizować państwo bolszewickie, a w którym wszelka własność będzie w rękach zbiorowości. Dawno już w ekonomice zostało wyświetlone, że wolność gospodarcza, bo o nią chyba autorowi chodzi, choć cały czas szermuje pojęciem ustroju kapitalistycznego, nie jest przyczyną koncentracji własności, która ma doprowadzić do kollektywizmu. Objaw ten powodowało w XIX wieku działające w tym kierunku prawo wielkości przedsiębiorstw czyli t. zw. koncentracji, które przysparzało największą rentowność właśnie wielkim przedsiębiorstwom. Okres zaś działania jego w tym kierunku, zdaje się, już się skończył i nasza epoka nawet przy zachowaniu wolności gospodarczej stwarza możliwości dekoncentracji produkcji i własności.

Jeżeli dalej chodzi o podstawowe założenia teoretyczne autora, uważa on, że liberalni ekonomiści zbudowali teorję na podstawie założenia, że człowiek ma bardzo uproszczoną naturę, która kieruje się w swej działalności żądzą możliwie dużego zysku. Jest to osławiony „homo oeconomicus" — podmiot działań gospodarczych. Zajmuje się też autor natychmiast polemiką z tem „zwierzęciem o ludzkiej postaci", twierdząc, że na szczęście nie ma on nic wspólnego z rzeczywistością. Niestety walczy, jak don Kiszot z wiatrakami, nie rozumiejąc wcale tego, że uczeni ekonomiści nigdy nie pojmowali konkretnie tego „homo oeconomicus", jako normalnego człowieka chodzącego po świecie. Jest to poprostu abstrakcyjna i formalna izolacja motywów gospodarczych w działalności ludzkiej od motywów pozagospodarczych, izolacja, która jest tylko metodą naukową. Autor twierdzi, że izolacja ta umożliwia „układanie przejrzystych teoryj", ale one nie mając nic wspólnego z żywym człowiekiem muszą być fałszywe. Chce on dalej, żeby ekonomja zaczęła się liczyć z żywym człowiekiem, z wszystkiemi zawiłemi właściwościami jego natury. Daje tutaj dowód, że ekonomji, jako nauki, nie rozumie i że ją poprostu zwalcza. Ekonomja bowiem jest nauka o gospodarczej stronie działalności ludzkiej, a nie może się kusić o to, żeby się stać nauką o człowieku!

Dodajmy jeszcze poglądy autora na procent, który autor zwalcza wzorem hitleryzmu, uważając za właściwe i możliwe gospodarstwo bez istnienia dochodu z kapitału, dalej żądanie powszechnej niezróżniczkowanej ochrony celnej, rzekomo stałej waluty indeksowej zamiast złotej, opartej na fałszywych przesłanakach zwalczania progresji podat., a niewątpliwie już po tych najogólniejszych tylko rozważaniach, gdyż szczegółowy rozbiór krytyczny wymagałby znacznie więcej miejsca, trudno się zgodzić ze zdaniem recenzenta „Gazety Warszawskiej", że „widoczna poważna znajomość teorji ekonomji stanowi również wielki plus rozważań..." autora. Nie widać również u autora, jak mieliśmy sposobność stwierdzić, poważniejszej znajomości tomizmu. Chromają więc obie podstawy, potrzebne do zbudowania katolickiego i narodowego poglądu na „gospodarkę narodową".

W książce Doboszyńskiego uderza jednak w y s o k i jej t o n e t y c z n y. W każdym prawym człowieku tkwić musi chęć ulepszenia ustroju społecznego, wyrównania niesprawiedliwości społecznych. Dlatego poglądy autora, wyrażone z o g r o m n y m t a l e n t e m publicystycznym i w i e l k ą s i ł ą p r z e k o n a n i a, mają otwartą drogę do serca czytelnika — narodowca. Dla każdego katolika stanowią one tem większą sugestję, że autor domaga się wprowadzenia w życie gospodarcze moralności chrześcijańskiej. W praktycznych wnioskach swych rozważań żąda on m. in. uwłaszczenia mas, uniezależnienia gospodarstwa narodowego od obcego nam żywiołu żydowskiego, połączenia w jednej osobie pracownika i właściciela, naprawy ustroju rolnego, ograniczenia lichwy. Postulaty to piękne, do których urzeczywistnienia dąży cały ruch narodowy. Szkoda jednak, że te piękne cele autor uzasadnia fałszywą drogą, wyszedłszy z błędnych założeń. Niebezpieczeństwo książki tkwi w tem, żeby czytelnik, porwany szlachetnemi celami i górnym tonem autora, nie przyswoił sobie równie sugestyjnie podanych jego błędnych punktów wyjścia i wielu rozważań, i nie wyciągnął z nich wniosków, idących znacznie dalej i w innym kierunku, niżby sobie tego życzył autor.

Szukamy nowych talentów

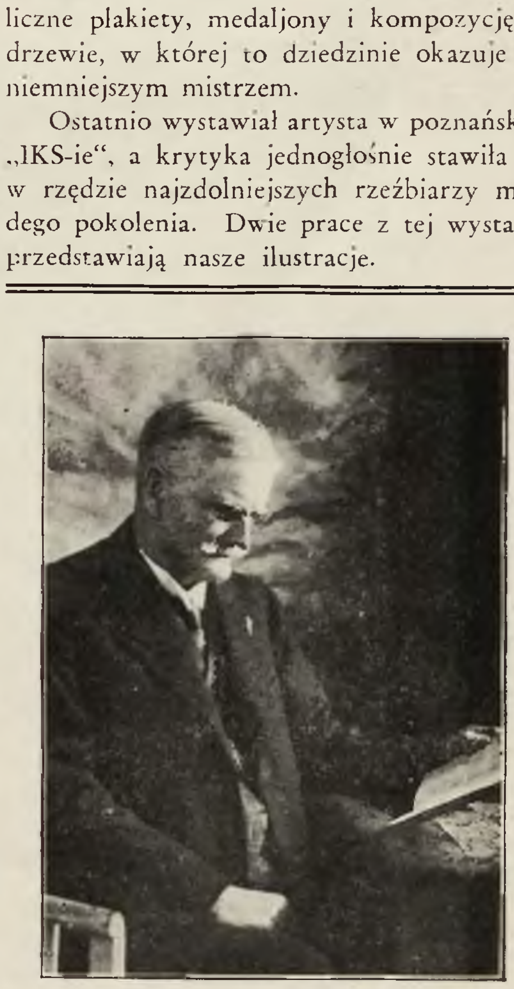
Redakcja „Głosu" przedstawia dwie prace młodego i zdolnego artysty - rzeźbiarza, J a n a Ż o k a.

Żok urodził się w Wolsztynie (Wielkopolska). Przez kilka lat kształcił się w pracowni najznakomitszego wielkopolskiego rzeźbiarza, M a r c i n a R ó ż k a. Samodzielnie wykonał już szereg prac o dużym poziomie artystycznym, że wymienimy tylko wspaniały nagrobek żołnierza (sztuczny kamień) na cmentarzu wolsztyńskim, liczne portrety, m. in. twórcy „Ojcze nasz" — hr-



Cieszkowskiego, Libelta i hr. Edwarda Raczyńskiego. Ostatnią rzeźbę zakupiło muzeum miasta Poznania. Dziełem Żoka są też liczne plakiety, medaljony i kompozycję w drzewie, w której to dziedzinie okazuje się niemniejszym mistrzem.

Ostatnio wystawiał artysta w poznańskim „IKS-ie", a krytyka jednogłośnie stawiła go w rzędzie najzdolniejszych rzeźbiarzy młodego pokolenia. Dwie prace z tej wystawy przedstawiają nasze ilustracje.



PROF. PIOTR PALIŃSKI,
jeden z najwybitniejszych i najbardziej zasłużonych regionalistów wielkopolskich.

Kwestja mniejszościowa na Warmji

(Kilka uwag).

Kraina niegdyś znana z działalności wybitnych polskich postaci, jakiemi byli biskupi warmijscy, a zwłaszcza genjalny polski astronom Mikołaj Kopernik — dziś z t. zw. kwestji mniejszościowej.

Kwestja mniejszościowa na Warmji jest stosunkowo nowa. Jeszcze w epoce przedwojennej mowy o niej właściwie nie było; to, co wtedy robiono dla uświadomienia narodowego ludności, nie miało charakteru powszechnego i rzadko tylko wychodziło poza większe grono jednostek. Zaczyna ona narastać dopiero z chwilą ogłoszenia przez traktat wersalski plebiscytu. Odbył on się w roku 1920, w chwili najbardziej niekorzystnej, kiedy to bolszewicy stanęli pod Warszawą, a Niemcy głosili zdanie: finis Poloniae. I dlatego wypadł dla Polski tak niekorzystnie.

Wynik plebiscytu przekreślił nadzieje przyłączenia ziemi warmijskiej do Polski, jednak nie zdołał przekreślić i zabić kwestji mniejszościowej. Ludność zmuszona zrezygnować z uprawnień politycznych, zaczęła tembardziej domagać się praw kulturalnych, przysługujących jej z tytułu odrębności pochodzenia. Temu zawdzięczamy powstanie szeregu polskich placówek, jak Związku Polaków, Polsko - Katolickiego Towarzystwa Szkolnego, Związku Towarzystw Młodzieży i kilku mniejszych organizacyj. Prowadzą one wspólnie akcję uświadamiającą i to z wcale dobremi wynikami, czego dowodem choćby nadspodziewany przyrost głosów polskich przy wyborach do sejmu pruskiego w 1924 r. (38 procent). Zaś czołowem zadaniem wymienionych organizacyj była walka o polską naukę w szkołach.

Wspomniany ruch polski byłby niewątpliwie rozwijał się dalej pomyślnie, gdyby nie pewna okoliczność, która nagle i na długi czas zastawiła mu drogę.

Ludność warmijska, jak wiadomo, zajmuje się rolnictwem i rolnictwo stanowi podstawę jej bytu. W czasach normalnych ziemia daje rolnikowi nieograniczoną swobodę ruchów, w chwilach kryzysu czyni go zależnym od rozmaitych instytucyj i niewolnikiem swoich wrogów. Tak właśnie stało się z rolnikiem warmijskim, kiedy, wskutek kryzysu gospodarczego, jaki nastał z końcem 1933 r., zachwiała się jego równowaga. Rolnik potrzebował pomocy pieniężnej, a mógł ją znaleść tylko w bankach niemieckich i niemieckich urzędach (Ostpreussenhilfe). Wymienione instytucje zaś postanowiły ciężkie położenie Polaków wykorzystać dla celów antypolskich. Zastosowały t. zw. presję ekonomiczną, polegającą na tem, że Polakom udziela się kredytu tylko wtedy, jeśli złożą oświadczenia, że nie będą brać udziału w akcji polskiej. Rzecz ta odbiła się na ruchu polskim fatalnie. Jej to zawdzięczamy, że, zamiast setek, mamy dziś kilkanaście polskich szkół, a w każdej szkole niewiele więcej niż 10 uczniów.

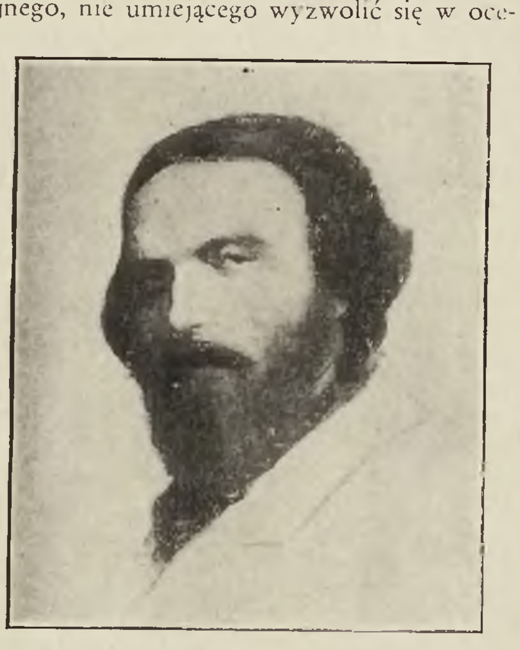
Dlatego nie należy szukać przyczyn obecnych niepowodzeń w rzekomej obojętności ludu warmijskiego. Przyczyna bowiem leży gdzieindziej, po stronie niemieckiej. Nie należy też zbytnio niepokoić się dzisiejszym stanem rzeczy. Jest to bowiem okres przejściowy. Kwestja mniejszościowa istnieje, a czas pracuje dla nas.

Balticus.

REMIGJUSZ NEY

Człowiek żywy

Dopiero po przeczytaniu książki Zygmunta Wasilewskiego o Norwidzie*) pojąć można w pełni, do jakiego stopnia spetryfikowany został ten Norwid, którego znamy. Na Norwidzie ciążyły dwie warstwy bronzu: jedna, którą wytwarzał koturn jego twórczości literackiej ; druga — bodajże zasobniejsza, którą wyprodukowała krytyka Miriama. Mówiło się w ostatnich szczególnie czasach wiele o Norwidzie, znając zgoła kogoś innego. Uwielbiano go, entuzjazmowano się nim. Nie myślano wogóle, żeby Norwid mógł być inny. Poprostu dobrze było z tym Norwidem, jaki rysował się w sugestjach. Aż podjął się trudu nadwyraz ciężkiego, by dokopać się do żywego człowieka, a dokopawszy się, zmyć z jego postaci namulny osad tworu artystycznego strumieniem wnikliwego krytycyzmu, pisarz, którego uważa się za zakutego fanatyka partyjnego, nie umiejącego wyzwolić się w ocenach literackich z kryterjów politycznych i subjektywnych, za bogobojnego utylitarystę w sprawach sztuki. — Zygmunt Wasilewski.



Cyprjan Norwid

Okazuje się, że ten właśnie krytyk jest niezgorszym bronzoburcą. Boyem — w nowem wydaniu. Ale naprawdę w nowem. Boy paćka się bowiem w tych faktach, szczególikach i momentach, odkrytych przez siebie w zabronzowanej osobistości, bawi się niemi, pieści je, kocha. Boy w ten sposób zyskuje dobre samopoczucie, autoafirmację: „Patrzcie, krzyczycie wciąż — hajże na Boya, a jakiż był wasz Mickiewicz, wasza Żmichowska? A ja wam to zawsze mówiłem...“ Z. Wasilewski zabiera się natomiast do sprawy Norwida bez nachalnego entuzjazmu, bez gorączki wiecznego „prawiczka“, z chłodem, ze spokojem, ze zrównoważeniem. Nic go nie dziwi zbytnio, nic go zbytnio nie emocjonuje. A jednak znać pasję, znać uczuciowy, więc szczery i prosty stosunek do przedmiotu studjum, a przedewszystkiem kulturę, wytrwałość i dojrzałość duchową, na których tamtemu zbywa.

Jaki jest więc ten nowy, naszym oczom przez Wasilewskiego ukazany Norwid? Poczytuję to autorowi za ogromny plus, że zajął się w olbrzymiej większości Norwidem z lat młodości. Kogo jak kogo bowiem, ale, by Norwida zrozumieć całego, mechanizm jego psychiki, totalność jego kształtu osobowego, należało bezwzględnie postawić przed sobą obraz młodości i w tym obrazie wytrapiać, śledzić, wyławiać istotne rysy fizjognomji, cechy, znamiona i treści psychiczne, które staną się dominantą lub wykresem fenomenu. Wyraźny, wręcz demonstracyjny rozbrat Norwida z otoczeniem, każe przypuszczać, że jego przyczyny taiły się gdzieś w najgłębszych pokładach psychiki, a nie w pierwotnym kształcie osobowości, pod nalotem wpływów czasu i ludzi. Organizacje tego rodzaju, co Norwid, wybitnie aspołeczne, krystalizują się dość wcześnie, zawierają się niejednokrotnie bez reszty już w młodości, w której tkwią silnemi korzeniami. W tym pierwszym zarysie rozwoju kryje się też psychologiczne rozwiązanie tajemnicy faktu socjologicznego. Faktem socjologicznym, jaki stworzyła osobistość Norwida była jego niezrozumiałość wśród otoczenia i dla pokoleń następnych. Otóż Norwid w chwili, gdy stanął przed życiem, doznał tego, co zadecydowało o jego przyszłości, o dziejach artyzmu, o jego socjologicznym aspekcie — porażenia filozoficznego. Zgrubsza polegało ono na tem, że młody chłopiec przejął się do głębi doktryną Fichtego o dualiźmie świata: jaźni i nie-jaźni, będących do siebie w takim stosunku, że pierwsza wprawia drugą w ruch, nadaje jej aktywność i ożywia. Jak wiadomo, Fichte supremował pierwszy element swej metafizyki: jaźń negatywnie odnosząc się do drugiego: niejaźni. U Norwida skutkiem tego nastąpiło przesunięcie punktu ciężkości ze sfery rzeczywistości na sferę ducha. Że Norwid uległ tak bezapelacyjnie doktrynie tego może najbardziej romantycznego z filozofów, to dowodziło, że już u nasady samej jego struktury psychicznej istniała podświadoma tendencja do dualistycznego rozczepienia. Ten dualizm wyniesiony zapewne w formie surowej z wyobraźni religijnej ludu mazurskiego, wśród którego wzrósł, z owego rozróżnienia dwu światów: nieba i ziemi, tutaj, na gruncie filozofji pokantowskiej, zastępującej publiczności warszawskiej tych czasów poezję romantyczną, doznał jakby olśnienia, utwierdzenia i ukonkretnienia. Niebo zaciążyło nad ziemią, świat ideału nad światem ziemskim, który stracił swą autonomję, stawszy się tylko zwierciadłem, odbiciem, znakiem tamtego, wyższego. A skoro tak się stało, artysta stanął w próżni, w każdym zaś razie na gruncie mocno mgławicowym, płynnym, zwiewnym.

Odwrócił się stosunek do świata. Normalny człowiek patrzy na niebo przez pryzmat ziemi. Norwid zaś odrazu wspiął się na szczyt, z którego ziemia widziała się mizerną, nędzną, znikomą, niebo zaś było wszystkiem. Stał się filozofem i to filozofem czynu, a jako taki starał się będzie za wszelką cenę ziemię kształtować na modłę nieba, czyli, że wobec ziemi takiej jaka była, nastawiony był z beznadziejnym sceptyzmem i nieufnością. I tu tkwi tragizm artyzmu, którego pozbawiono najistotniejszej treści, bez której nie może być mowy o artyźmie — z treści płynącej z afirmacji rzeczywistości. Tragizm tem większy, że Norwid był w równym stopniu naturalnym artysta, co filozofem, był przecież malarzem - plastykiem.

To też cała twórczość Norwida będzie wypadkową dwu tych czynników: „naturalistycznego popędu estetycznego w oparciu o świat dobrze znany...“ i „idei tworzenia, powziętej zgóry, naginającej materjał zdobyty zmysłami do ilustrowania idei.“ (s. 45). Jeżeli zadominuje jeden, wtedy artyzm będzie większy i pełniejszy, gdy drugi — słabszy, a może nawet zupełnie wyeliminowany. Wszakże rozdarta dusza Norwida łączyła je uznaniem stanowczej przewagi drugiego z nich — idei. Artysta, którego wodził filozof, kładł sobie w ten sposób dobrowolnie pod nogi kłody, utrudniające w najwyższym stopniu jego rozwój. Jedyna okoliczność, która troche wspierała artyste w tym trudzie, to ta, że u Norwida myśl nie była czystym, bezdusznym abstraktem. Była myśla mocno afektowana i mogła odegrać rolę podobną do tej, która grało natchnienie.

Człowiek o zachwianej wierze w rzeczywistość, chcąc pozostać jednak artystą, musiał na tyle jej jednak zachować, by przedmioty nie straciły całkowicie swojej istności. Nie będą to już symbole, lecz alegorje, a więc środki najmniej artystyczne, służące tylko do interpretowania lub ornamentowania myśli. A jednak, że wyszedł z ludu, u którego zdobył żelazny kapitał poetycki, bywały chwile, że ten prymityw ludowy dochodził do głosu i wtedy artyzm pozostawał nienaruszony i czysty.

Źródło więc natury artyzmu Norwida i jego wewnętrznej antynomji zawierało się implicite w odwróconym stosunku do świata. W jaki sposób filozof wyzyskiwał artystę? Oto w ten, że użył go jako narzędzie do spełnienia posłannictwa, w które uwierzył zgóry, a które polegało na **uniebnianiu ziemi**. Artysta musiał postępować wbrew swej naturze, albowiem patrzał na ziemię taką, jakaby być powinna, nie jaka była.

Ciekawa rzecz, że cała jaźń Norwida wydaje się budowlą z jednego bloku. U Norwida cała ta pozapsychiczna, sztuczna konstrukcja wydawała się właśnie potrzebą psychiczną. Norwid miał zawsze predyspozycję do wywyższania się ponad świat przeciętności, do wzbicia się górnego w stratosferę. Oto Wasilewski mówi nam, że Norwid chętnie manifestował swoje niby książęce pochodzenie, operuje urojeniem. Adler powiedziałby, że Norwid budował sobie zewnętrzną fasadę osobowości z fikcji, niby maskę ochronną w walce życiowej.

Ażeby odkryć zasłonę z tych procesów, jakie zaszły u Norwida, Wasilewski wypatruje je całkiem słusznie w momentach endogenicznych. Ten swój wieczny niepokój, pracy do wędrownictwa i zdobywania świata, wiara w posłannictwo zgóry swej sztuki, samotnictwo, zdolność do tantalowej pracy „myśli którą jak kotwicę, zarzucał w głębię, aby gdzieś uchwycić kontakt z życiem; wieczna tęskonota za kresem, gdzie ziemia łączy się z niebem, oceanem wieczności“ (s. 50), wszystko to w niemałym stopniu wypływola u Norwida z jego normandzkiego pochodzenia.

A dalej też dużo wyjaśnia teorja o dziedziczeniu zdolności. Ojciec Norwida był znakomitym szaradzistą. Zdolności swe przekazał synowi, którego twórczość sprawia właśnie wrażenie wybitnie szaradowej. „Manjera pisania szaradami prześladowała Cyprjana całe życie“. (Str. 55).

Elementy egzogeniczne, przyjęte z powietrza swego środowiska i czasu, tę utajoną predylecję psychiczną Norwida rozwijają. Norwid wszedł do życia warszawskiego, które było życiem salonu . Ciekawy jest ten Norwid salonu. Dandys we fraku, w paljowych rękawiczkach i z cylindrem w ręku, pięknoduch, wytworny causeur, deklamator — zdobywa retoryczność i pozerstwo, które pozostaną już w nim nazawsze. Oto Norwid pisał zawsze tak, jakby mówił do audytorjum, czytelnik, zdany na łaskę zimnych liter próżno się będzie biedził nad ich zrozumieniem. Brakować będzie autora, recytatora. Norwid zbytnio liczył na magję słowa. On tak „spoil literaturę z naturą dyskursu towarzyskiego bezpośredniego, rozporządzającego całym splotem środków odrębnych, że słowo literackie traciło u niego swoją samoistność. Pisząc w duszy deklamował, obliczał efekt nie po literacku, że „ktoś będzie to czytał sam na sam z papierem, lecz że będzie słuchał (s. 100).

Estetyzm salonowy u Norwida pogłębił dystans między nim a żywą rzeczywistością, rozdwojenie psychiczne się ugruntowało.

Jedno jest niesłychanie ważne dla zrozumienia poety. Znaczenie, jakie ma dlań kobieta. Za każdym utworem, w którym jest obraz życia, stoi kobieta, do której Norwid kieruje swe słowa. „Jeśli niema kobiety, to postawa poety jest taka, jakby liczył że odbiorcą jego i sędzią jest kobieta w salonie, pozostająca pod magją słów, dla akcentów męskich chętnie rezygnująca z pojmowania treści (s. 100).

Niebawem taki poeta niby Wiking zapragnie odlotu w obce kraje. Zew rasy nie pozwalał mu długo zagrzewać miejsca. Znajdzie się wśród polskiej emigracji. Nic go z nią nie łączy. Rozwiewa stanowczo tę legendę Wasilewski. „Nie czyn bowiem zbawienia narodu, lecz pewna misyjność poznawania tajemnic sztuki“ była motywem jego wędrownictwa.

Poświęciwszy stronic parę miłości poety do pani Kalergis przechodzi autor do charakterystyki schyłku poety. Zastanawiając się nad przyczynami nieustalonej równowagi wewnętrznej Norwida, widzi ją w dekatentyźmie Norwida. Nie była to zaiste postać renesansowa, lecz „schyłkowiec obciążony dziedzictwem nałogów nadrabiający intelektem braki organiczne, przyprawiające jaźń niemal na każdym kroku od młodych lat o rozdwojenie i w życiu i w twórczości“ (s. 208).

Człowieka z światopoglądem nawskroś estetycznym musiała spotkać nieubłaganie katastrofa. Norwid jako artysta przegrał na całej linji, bo nie dopiął celu, który chciał spełnić — ukształcił społeczeństwo mocą swej sztuki, lecz niestety sztuka ta obca pozostała dla społeczeństwa. Poeta wiódł prym, ale nad tłumem głuchych słuchaczów i ślepych widzów.

Tak się stać musiało. Żaden bowiem system estetyczny nie będzie miał władzy, jaką posiada system at religijny, a całe nieszczęście dla Norwida, pierwszy miał znaczenie drugiego. Więc „Norwid padł ofiarą katklizmu i nie doszedł do syntezy. Padł ofiarą górnych wirów“ (s. 223).

Tak się przedstawia treść nowej książki o Norwidzie w grubem ujęciu. Napisana stylem spokojnym, opanowanym, wytwornym stanowi w bibljografji Norwidowej bodajże najmocniejszą pozycję. Nie jest monografją. Ale bo też i autorowi o nią nie chodziło. Zadanie, jakie sobie autor postawił, było dać charakterystykę duszy twórczej Norwida. Sądzę, że zadanie to spełnił chlubnie. Dał przedewszystkiem niezbędną podstawę, na której dopiero można budować wiedzą o Norwidzie. Wasilewski pierwszy z krytyków Norwida, podkreślających stale swój entuzjazm i uwielbienie dla autora „Promethidionu“, potrafił zdobyć się na świeży, młodzieńczy, zdrowy stosunek wobec sprawy Norwida. A przecież jest pisarzem starszego pokolenia, tego samego pokolenia, które Norwida zrozumieć i uznać nie chciało, a przecież jest „człowiekiem obozu narodowego, obozu wstecznictwa i pleśni“. Czyż znajdą się jeszcze po tej ostatniej jego książce ludzie „dobrej woli“, którzy biadać będą nad Wasilewskim, że ze szkodą dla swego umysłu i swych krytyczno - literackich zdolności zaprzedał się partji, należącej do cofającego się świata?

„Norwid“ Wasilewskiego jest rewolucyjny, jak rewolucyjna jest „Myśl Narodowa“. Któżby sądził, że tak będzie wyglądał Norwid ekshumowany i któż wreszcie dopuszczał myśl, że będzie go można kiedykolwiek ekshumować? Dzieło Wasilewskiego to przejaw nawskroś nowoczesnego ducha. Miejscami ma się wrażenie, jakoby się czytało nojnowszych teoretyków zagranicznych literatury i psychologji, zwłaszcza zaś Kretschmera „Ludzie genjalni“. Umiejętnie, dyskretnie, z umiarem stosowane kryterja socjologiczne, lekki subjektywizm, który dodaje dziełu żywszych kolorów i pomaga zrozumieć niejedno, subtelność i finazyjność rozróżnień i przedewszystkiem ta niesłychana europejskość, przejawiajaca się w sposobie taraktowania takich czy innych problemów Norwidowych — to wszystko dowodzi niezbicie, że jednak można być nadnarodowym, będąc narodowym.

*) Zygmunt Wasilewski „Norwid“. Warszawa, 1935. Str. 243.

ANTONI DORUSZEWSKI

„Marks i Engels o sprawie polskiej"

Pod takim tytułem ukazała się ostatnio broszura niejakiego M. Misko wydana przez instytut polskiej kultury proletarjackiej przy Wszechukraińskiej Akademji Nauk w Kijowie. Już sama okładka zdradza nam specyficzny charakter i tendencje nauki w pojęciu bolszewickiem. Hasło „proletarjusze wszystkich krajów łączcie się“, wypisane jakko motto, mówi o istocie przewartościowania wszelkich wartości — nawet w tym wypadku nauki! Stąd też czytelnik polski podchodzi do samej broszury z pewną rezerwą o odpowiedniem nastawieniem. Z podobną predyspozycją zabrał się do czytania i piszące te słowa. Przeczytwszy jednak całość trzeba stwierdzić, że autor bolszewicki trafił w sedno postawianego sobie zagadnienia, przedstawił je zasadniczo objektywnie i zgodnie z istotnym stanem rzeczy.

Całość broszury składa się z trzech rozdziałów. W pierwszym mówi się o stosunku doktryny markсistowskiej do sprawy polskiej w roku 1848; w drugim rozdziale rozprawia się o roli polskiej w zamierzeniach marksizmu po r. 1848, a w trzecim wreszcie stara się wytłumaczyć motywy stosunku Lenina do Polski. Tenor rozprawy w wszystkich jej rozdziałach skierowany jest przeciw PPS., której autor zarzuca zniekształcenie ideologji marksistowskiej właśnie w punkcie, dotyczącym sprawy polskiej.

Udowadnia on na podstawie dokumentów oraz cytat z pism Marksa i Engelsa, iż stosunek ich do sprawy polskiej był zawsze jednolity, wchodziła ona o tyle w rachubę, o ile stanowiła jakiś szczebel ku rewolucji światowej proletarjatu. Niepodległość Polski, którą głosił Marks w roku 1848 dlatego była konieczna, ponieważ miała ona zniszczyć Święte Przymierze. Marks wtedy doszedł do wniosku, że jedynie przez powstanie polskie może pęknąć Święte Przymierze, stąd też zapalił się do sprawy polskiej wyjątkowo.

Chcąc pozyskać Polaków wizją niepodległości wypowiedział zdania sprzeczne z późniejszą jego polityką. Poprostu przecholował. Były one jednak wynikiem nie linji politycznej, lecz taktyki. Tu leży wielka pomyłka naszej PPS., która brała samą literę taktyki za treść istotną i szczerą. Autor oczywiście tego nie „dośpiewuje“ i stara się raczej wytłumaczyć fakt ten rozwojem linji politycznej Marksa, za którą PPS. nie mogła nadążyć!

Takie postawienie sprawy jest jednakże błędne. W tym samym czasie Marks był przeciwny niepodległości słowian południowych, a to z tego względu, iż ci niepodległość swą wiązali z Rosją i ruchem burżuazyjnym. Marks i Engels uznawali jedną tylko niepodległość, a to w ramach ustroju socjalistycznego. Ustrój socjalistyczny jest pierwszą wartością, inne wartości należy jemu podporządkować.

Wobec powyższego łatwo można zrozumieć, dlaczego po roku 1863 sprawa Polski budzi coraz mniejsze zainteresowanie, — jest ona bowiem już mniej potrzebna do realizacji celów ogólnych socjalizmu. Na pierwszy plan wysuwa się Rosja!

W dalszym ciągu rozprawia się autor jeszcze z luksemburgizmem, jako sprzecznym z ideą komunizmu. Na tym punkcie trzeba przyznać wielki spryt marksizmowi: nie odważył się znegować zupełnie idei narodowej tem niemniej nie dał żadnego dotychczas w tej sprawie rozwiązania.

Przy końcu swej niewątpliwie ciekawej książeczki precyzuje autor stosunek proletarjackiej egzekutywy (teoretycznej oczywiście) do Polski niepodległej, z czego niedwuznacznie wynika, że dopiero wtedy będzie mógł się proletarjat polski wyzwolić, skoro wyzwolone będą ludy przez Polskę „uciskane“, to znaczy Ukraińcy, Białorusini, Niemcy i oczywiście Żydzi!

Na stronie 49 znajdujemy następującą charakterystyczną sentencję: „Dyktatura faszystowska w Polsce zwalcza z całą bezwzględnością ruch rewolucyjny proletarjatu i chłopstwa. Prawie połowa ludności Polski Ukraińcy, Białorusini, Żydzi i in., cierpieli wskutek posuniętego do ostateczności ucisku narodowego, podobnie i bardziej jeszcze jak przedtem masy pracujące polskie cierpiały wskutek ucisku caratu. Walka narodowo - wyzwoleńcza tych uciskanych narodów stanowi wielką siłę napędową, skierowaną przeciw dyktaturze faszystowskiej, przeciw imperjalizmowi polskiemu“.

CZESŁAW PILICHOWSKI

„PRO DOMO" SUA

Jerzy Braun wydał ostatnio książkę, usiłując dać w niej próbę rekonstrukcji i krytyki poglądu na świat Stanisława Brzozowskiego. Jest to trzecia z rzędu publikacja o tym myślicielu. Poprzednio M. Zdziechowski i B. Suchodolski, zająwszy stanowisko w zasadzie jednolite, ukazali nam całokształt dorobku myślowego tegoż pisarza z dwu punktów widzenia. Pierwszy ujął całą twórczość jako gloryfikację pracy, posuniętej aż do heroizmu, drugi, będąc ostrożniejszy i stosując metodę wyłącznie naukową, dał nam charakterystykę myśli w jej chronologicznym rozwoju. Można powiedzieć, że obie te prace spełniły wytknięte cele, będąc i katechizmem odrodzenia duchowego i naukową interpretacją myśli. Zamknęły zresztą w skonsolidowanej całości „organiczną" (St. B., „Pamiętniki", str. 159)) filozofję Brzozowskiego. Podobnemi aspiracjami kierował się również autor trzeciej publikacji, dążąc do nowego oświetlenia idei centralnej metafizyki Brzozowskiego, oraz całego, ugruntowanego na niej systemu pojęć. Zadanie jego, niezwykle śmiałe, wydaje mi się również trudnem, jak niebezpiecznem temwięcej, że za kryterjum systemu podstawowych pojęć metafizyki Brzozowskiego wziął metody i idee filozofji absolutnej Hoene - Wrońskiego.

Jak wiadomo, Brzozowski metody absolutnej w swej filozofji nie posiadał. Stąd według Brauna należało skonfrontować filozofję Brzozowskiego z filozofją Hoene - Wrońskiego, by móc stwierdzić, że życie w istocie jest metodą genetyczną docierania do istoty wnętrznej Absolutu Boga, z której czerpie zasadę stwórczą osobowej nieśmiertelności. Braun, ustosunkowawszy się w ten sposób do całej filozofji Brzozowskiego, przeprowadza bardzo konsekwentnie w całej rozprawce swój punkt widzenia. Nic więc dziwnego, że dochodzi do następującego rezultatu:

„Życie jako metoda genetyczna samostwarzania, będace zagadnieniem filozofji pracy i aktu twórczego u Brzozowskiego, przypuszczone przezeń jako możliwość, przemienia się tu (t. zn. w czystym, integralnem, usystematyzowanym mesjaniźmie) w istotność, a wreszcie w konieczność metafizyczną, ugruntowana niewarunkowo na samej wolności stwórczej rozumu absolutnego". (str. 77).

Rozpatrując zaś kolejno: genezę poglądu na świat, pracę i akt twórczy, filozofję życia, najwyższy problemat historji, filozofję narodu i klasy, od filozofji do religji, kryzys romantyczny kultury, wykazuje, że zarazem punktem wyjaścia i dojścia całego rozwoju duchowego, istotnym składnikiem metafizyki Brzozowskiego była „stała dążność do przemiany świata gotowego w świat stwarzany" (str. 7), czyli przejście od chrematyzmu do achrematyzmu. Na tej podstawie dowodzi autor, iż pogląd na świat Brzozowskiego nietylko, że pozostaje w organicznej łączności z całokształtem przesilenia romantyczno - mesjanistycznego kultury europejskiej, której zamknięcie stanowi według Brauna filozofja absolutna Hoene - Wrońskiego, ale nawet wyznacza twórczym antycypacjom Brzozowskiego jakoby celowe, prolegomiczne przygotowanie historjozofji Hoene - Wrońskiego.

„Mianowicie: potęga autogeniczna myśli jest tam określona, jako element wolności ludzkiej, zaś potega autotetyczna pracy (samozakładanie sie w bycie), jako element przyrody ludzkiej". (Str. 53—4).

Wszak Hoene - Wroński, usystematyzowawszy w Prawie Stworzenia w kanon niewarunkowany genezy autogenicznej i autotetycznej „wszechświata - życia" metodę absolutną wyzwalania jaźni ze świata fizycznego skierował metodę gentyczną właśnie ku samostwarzaniu, a nie ku samounicestwianiu. Nie dostrzegł tego Brzozowski w swej metafizyce. Stąd Hoene - Wroński staje się niejako jego uzupełnieniem. Erą zaś, która oba te pierwiastki wyśmienicie sharmonizowałaby, urzeczywistniając ideał nowego człowieka i nowej ludzkości, byłaby era „doskonałego ładu kosmiczno - mesjanicznego" (str. 54), łącząca w tożsamość samowytwarzanie i samostwarzanie.

Tak w przekroju wyglądałby pogląd na świat Brzozowskiego w ujęciu Brauna. Nie zwróciłem w jego przedstawieniu uwagi specjalnej na pewne kwestje, które Braun uważa, albo za samodzielne twory myślowe Brzozowskiego np. ideę pracy, albo za własne spostrzeżenia np. pokrewieństwo z filozofją Cieszkowskiego, Norwida, Kanta. Sądziłem bowiem, że kwestje te dostatecznie zostały oświetlone w dwu poprzednich publikacjach, szczególnie u Suchodolskiego. Postaram się teraz spojrzeć na książkę Brauna z innej strony: czy i jak spełnia pokładane w niej zadanie?

Niewątpliwie bieg rozumowania Brzozowskiego w książce Brauna zyskał oświetlenie nowe. O to w pierwszym rzędzie autorowi chodziło. Zyskały dalej idee naczelne jego poglądu na świat „klasowość spekulatywna" (str. 5) dzięki przyjęciu metody i idei filozofji absolutnej Hoene - Wrońskiego. Przecież problematy najtrudniejsze, jakie często znajdujemy u Brzozowskiego niewykończonemi, do których rozwinięcia zbudował zaledwie fundament, osiągnęły tu taką nadbudowę filozoficzną, że cały system myślowy Brzozowskiego w ujęciu Brauna zdobył niezwykły ład architektoniczny i czyni wrażenie całkiem już dojrzałego, rozwiniętego systemu filozoficznego. Wrażenie nasze jeszcze silniej się potęguje, jeśli spoglądamy nań wyłącznie ze stanowiska Brauna, jeśli zadowalamy się osiągniętemi przez niego wynikami, nie wglądając w szczegóły rozważań i, nie badając słuszności ich założenia. Pomijając już zamiar usystematyzowania luźnych myśli, rozrzuconych po wszystkich dziełach Brzozowskiego, i zebrania ich w całokształt, którego znowu Braun konsekwentnie z naczelnie punktu widzenia dokonał, jesteśmy skłonni przyklasnąć najmocniej autorowi za wykonane dzieło. Ale tu zjawia się alternatywa nowa, która całe nasze dodatnie wrażenie może rozwiać, a zjawia się ona wtedy, jeśli badać rozpoczynamy: 1) postawione zagadnienia, 2) słuszność punktu widzenia i motywy jego przyjęcia, 3) czy i o ile zgodna jest interpretacja poszczególnych zagadnień filozofji Brzozowskiego w zbudowanym przez Brauna poglądzie na świat.

Świetnie, że Braun podchodzi do zagadnienia filozofji Brzozowskiego od strony metafizycznej. Dotychczasowi badacze istnienie metafizyki u Brzozowskiego tylko podkreślili. I nie byłoby w tem nic błędnego, gdy Braun, wpatrzony z bezgranicznem uwielbieniem w Hoene - Wrońskiego, zagadnienie całe uprościł przez wyciągnięcie jedynie istotnych związków wzajemnych między temi filozofjami, gdyby, rozwijając je na platformie ogólnej metafizyki, nie zasklepił się wyłącznie w swoiście pojętej metafizyce Hoene - Wrońskiego. Coprawda cała myśl filozoficzna Hoene - Wrońskiego wyszła z doktryny Kanta, uczniów Schellinga i Hegla, stanowiąc niejako ich zakończenie rozumowe. Ten jednak tytuł filozofji Hoene - Wrońskiego ze stanowiska ściśle naukowego nie upoważnia Brauna do stosowania jej metod i idei jako kryterjum systemu podstawowych pojęć metafizyki Brzozowskiego, choćby to czynił „pro domo" sua.

„widząc jak mało są znane i interpretowane główne założenia doktryny mesjanicznej", choćby chciał „zademonstrować na przykładzie stosowalność ich do całej nowoczesnej problematyki filozoficznej i historjozoficznej, z którą myśl Brzozowskiego pozostawała w związku intymnym". (Str. 5).

Jakaże bowiem jest metafizyka Brzozowskiego? Nie dąży przecież do określenia pojęciowego świata pozaludzkiego, a zadawala się tylko wykazaniem ścisłej łączności między dwoma światami: ludzkim i pozaludzkim. Światu pozaludzkiemu wyznacza tylko rolę wyższą do spełnienia, rolę arbitra, któryby przyjął jako twórcę te tylko postacie naszego życia, jakie się ostać mogą poza ludzkością. Nic więc dziwnego, że myśl Brzozowskiego stale jest związana z wizją „tamtego" świata mimo kult i zaufanie, jakiemi darzy „ten" świat, byleby tylko życie ludzi było pełne, indywidualne i twórcze.

To zdanie sobie sprawy z charakteru metafizyki Brzozowskiego było koniecznem do stwierdzenia, wyłuszczonego wyżej, iż Braun popełnił fatalną omyłkę, dopełniając, konfrontując agnostyczną metafizykę Brzozowskiego z gnostyczną filozofją absolutną Hoene - Wrońskiego. Rzeczywistość, jako przedmiot metafizyki, jest u Brzozowskiego stale płynna, nieskonsolidowana rozumowo, niepoparta dostatecznemi wywodami myślowemi, gdy u Hoene - Wrońskiego jest określona i pojęta w sposób absolutny. Dlatego wtłoczenie dorobku myślowego Brzozowskiego w ścisłe ramy filozofji absolutnej Hoene - Wrońskiego powoduje nietylko zatracenie istoty charakteru tejże filozofji, ale i wypaczenie jej poszczególnych problemów. To, że myśl Brzozowskiego stale wykazuje ścisłą łączność ze światem pozaludzkim, a filozofja Hoene - Wrońskiego przyjmuje pojęcie absolutu u podstawy wszelkiego działania filozoficznego, nie może decydować również o stosowaniu jednolitej metody do ich dorobku myślowego.

Jeśli więc skonstatowaliśmy na początku, że Brzozowski w swej filozofji metody absolutnej nie posiadał to uważam, iż metoda ta filozofji jego nie odpowiadała, jak to okazuje się z naszych ostatnich rozważań.

Dalej Braun, by móc rozpatrywać metafizykę Brzozowskiego pod kątem filozofji Hoene - Wrońskiego, musiał zagadnienie rozszerzyć. Dlatego mówi o metafizyce pracy i życia, składając tem samem oba problemy na jednej płaszczyźnie dowodowej. Tymczasem Brzozowski wyrazem praca tłumaczy we filozofji swej istotę bytu. Wszakże praca, stanowiąca jedno z podstawowych założeń jego poglądu na świat, staje się i środkiem, który zapewnia moc gromadzie, i warunkiem życia pełnego indywidualności. Dzięki takiemu ujęciu pracy wzbogaca Brzozowskiego pojęcia. Trzeba było Braunowi zdecydować się na jedno: albo mówiłby o metafizyce życia, albo metafizyce pracy, a wtedy czytelnik nie byłby skłonny do wątpliwości, co autor uważa za jedyną, prawdziwą metodę genetyczną: czy życie, czy też pracę. Zresztą nawet sam Braun, tak postawiwszy zagadnienie, nie uniknąłby odwrócenia tych dwu pojęć. Nie można bowiem twierdzić, że życie według Brzozowskiego jest arcy - organem stającej się absolutnej rzeczywistości, (jeśli istnienie takiej przyjmiemy u Brzoz.), gdy nim jest **jedynie i wyłącznie praca**. Chyba, że pojęcia te w istocie się utożsamia. Lecz wtedy nie można mówić o metafizyce pracy i życia, lecz albo o jednej albo o drugiej.

Ta predyspozycja do stawiania na jednej płaszczyźnie dowodowej dwu różnorakich problemów Brzozowskiego zdarza się Braunowi niejednokrotnie: np. epoki romantycznej z romantyzmem jako poglądu na świat. Nie będę wchodził w szczegóły. Ale właśnie dzięki takiemu postawieniu kwestji autor wprowadza niepotrzebne rozróżnienie między romantyzmem polskim (t. zw. przez Brauna mesjanicznym), a romantyzmem zachodnim. Brzozowski niewątpliwie zdawał sobie sprawę z różnic, jakie zachodzą między obu romantyzmami, jako prądami kulturalnemi. To też, jeśli rozróżnień takich nie wprowadza, możemy myśleć jedynie o romantyźmie jako poglądzie na świat. Ten w pojęciu Brzozowskiego był tylko jeden. Ale wprowadzenie rozróżnienia jest Braunowi konieczne, by mógł znowu dojść w swych rozważaniach nad kryzysem romantycznym kultury do a priori przejętych z Hoene - Wrońskiego wniosków, o jakich Brzozowski zapewne nie myślał i, do jakich w swej filozofji nie doszedłby.

W związku z przyjętem naczelnie kryterjum występują w interpretacji niektórych problemów filozofji Brzozowskiego przez Brauna pewne nieścisłości. Tak np. pojęcie narodu u Brzozowskiego jest raczej dynamiczne, biologiczno - techniczne, gdy u Brauna wydaje mi się statyczne i mechaniczne. Dlatego pojęcie narodu przez Brauna jest zainterpretowane mglisto, zyskując zabarwienie kosmopolityczne, gdy Brzozowskiego jest specjelnie polskie. W tej i w innych jeszcze interpretacjach myśli Brzozowskiego, któremi się z braku miejsca zajmować nie mogę, uwydatnia się najwyraźniej pewnego rodzaju tendencjonalność w ujmowaniu problemów. Tendencjonalność ta jest trojakiego rodzaju, co już kilkakroć przygodnie podkreślałem: albo autor odpowiednio do naczelnie przyjętego punktu widzenia poszczególne zagadnienia nagina np. krytyka szematu „myśl i praca", albo rozstrzyga je apodyktycznie ze stanowiska Hoene - Wrońskiego np. „kryzys romantyczny kultury" albo „pro domo" sua stara się wywikłać Brzozowskiego z trudności autologicznych np. „cele religji w ujęciu filozofji absolutnej".

Przypatrzeliśmy się rozprawie Brauna z dwu stron, jak wykazałem w pierwszej części niniejszej rewizji, w której przyjąłem wyłącznie punkt widzenia autora, myśl Brzozowskiego zyskała na prężności i czyni wrażenie całkiem dojrzałego systemu myślowego. Przyczynia się do tego jedynie metoda i idee filozofji absolutnej Hoene - Wrońskiego, w drugiej jednak części starałem się podejść do całej rozprawy krytycznie, by poprzez podważenie jej założenia, wykazanie dwulicowości interpretacyj, dojść do wniosku, że rzecz Brauna o Brzozowskim stanowi pewnego rodzaju eksperyment bez specjalnej wartości naukowej, jak i wyłącznie propagandowej. Zwróciłem specjalną uwagę na założenie, gdyż w niem uwydatnia się najlepiej słuszność lub niesłuszność dalszych wyników.

I mniemamy, że nie będę przesadny, jeśli powiem, że do prac w rodzaju Brauna z zakresu polskiej filozofji nauka polska jeszcze nie dorosła. Tak sami myśliciele mogą się w niej pogubić, skierowując punkt ciężkości na nieistotne zagadnienia i nieistniejące związki między dorobkami myślowemi poszczególnych filozofów, jak również czytelnicy, zyskujący przez podobne prace raczej „galimatias" w mózgach, niż oświecenie.

*)Jerzy Braun „Metafizyka pracy i życia". Rzecz o Stanisławie Brzozowskim. Warszawa, 1934. Bibljoteka „Zet." 8⁰, str. 79.



Drzeworyt Tadeusza Malickiego „Las" z wystawy artysty w Instytucie Krzewienia Sztuki, plac Wolności 14 a.

Jak z powyższego widzimy role nieco zmieniono, przedtem Polacy stanowili element, który miał rozsadzić burżuazyjną Rosję, dzisiaj w Polsce niepodległej zjawia się nowy element rewolucyjny — mniejszości; dążenia ich do niepodległości, czy ku czemuś podobnemu, wyzyskuje na swój sposób komunizm przeciw Polsce.

Tu dopiero objawia się istotny stosunek marksizmu do idei niepodległości jakiegokolewiek narodu. — Niepodległość jest tylko środkiem, a nie celem!

Jeżeli teraz zreasumujemy całość wniosków i przedstawień autora, to trzeba przyznać, że są one wyjątkowo jasno postawione — wprawdzie autor różnych rzeczy nie dopowiedział, ale to już mniejsze. Pozatem całość zagadnienia ujął nie po marksistowsku, brak mu taktyki; mówi szczerze. Otóż w tym wypadku szczerość dlatego była konieczna, ponieważ cała broszura skierowana jest przeciw PPS., która w swej polskiej naiwności wzięła pewne taktyczne posunięcia marksizmu na serjo i co gorsza przy nich się uparła nawet — pod tym względem pokazał nam autor szczere istotne stanowisko marksizmu, chłoszcząc niemiłosiernie Polską Partję Socjalistyczną.

Tak jednakże pisać może jedynie człowiek, który przyjął komunizm jako dogmat, jako religję. Na ten szczegół trzeba szczególnie zwrócić uwagę.

Jest on niemniej niebezpieczny ale mniej podstępny! Całą broszurę trzeba uznać jako dodatnią w stosunku do ruchu narodowego w Polsce — odsłania ona niebezpieczeństwo stale nam grożące i zmusza nas do środków zaradczych.

STANISŁAW CELICHOWSKI

WYPRAWA ZBĄSZYŃSKA

Wspomnienia uczestnika

3

Dziwna to była uczta. Wzięła w niej udział pani Schoepkowa wraz z swoim fraucymerem. Podczas gdy myśli nasze krążyły już nad przyszłem pobojowiskiem, twarze siliły się na beztroski wyraz, a umysły na gładkie i dowcipne słowa. Choć więc kolacja była doskonała, z ulgą odetchnęliśmy, gdy dobiegała końca. Czy właścicielka, życząc nam serdecznie dobrej nocy przeczuwała, jaka to noc nas czekała? Przypuszczam, że tak, że niezawodny instynkt kobiecy musiał jej powiedzieć, że za tą maską pogody i beztroską tych w wyszarzałych mundurach zgromadzonych na przyjęciu dowódców powstańczych, czaiła się myśl o bliskich krwawych zapasach.

Około północy nadciągnęła kompanja opalenicka. Wszystkie oddziały ustawiły się na folwarcznem podwórzu, gdzie do nich przemówił kapelan kompanji opalenickiej, błogosławiąc nasz oręż i udzielając wszystkim rozgrzeszenia. Jeszcze pod wrażeniem sali jadalnej we dworze i wykwintnego przyjęcia, słuchaliśmy ze skupieniem słów o czekającej nas możliwie już za chwilę śmierci na polu chwały.

Po krótkim odpoczynku kompanja opalenicka ruszyła około godziny 1-szej w nocy do swej krwawej pracy. Ponieważ kompanja kórnicka miała dopiero wyruszyć nad ranem, przyłączyłem się narazie za zgodą dowódcy baonu do kompanji opalenickiej, by jej służyć znajomością terenu i zorjentować się o przebiegu walki. Niedobrze wróżył ten marsz wśród ciemnej nocy. Wyczuwało się częściowo zdenerwowanie niewprawionego żołnierza, który w miarę zbliżania się do pozycji nieprzyjacielskiej, zaczął bez rozkazu ładować broń, przyczem dwa czy trzy razy wypalił niezabezpieczony karabin.

Wreszcie kompanja wraz z naszym oddziałem łączności, który miał zaraz założyć połączenie telefoniczne z dowództwem, i karabinami maszynowymi pod dowództwem Kęszyckiego około godziny 3-ciej w nocy stanęła nad torem kolejowym, punktem wyjścia ataku na Strzyżewo. Tor ten na kilkanaście metrów wysoki ciągnął się w odległości kilkuset metrów wzdłuż wsi Strzyżewo, wsi olbrzymiej, liczącej blisko 1000 mieszkańców, przeważnie zażartych Niemców. Między torem a wsią ciągnęła się dolina, pokryta częściowo torfowiskami. Ku południowi wieś zbliżała się na odległość ca 100 m. do toru.

Po porozumieniu się ze mną Klemczak postanowił kompanję rozwinąć nad torem w szeroką tyraljerę, by równocześnie szerokim frontem uderzyć na wieś. Na torze ustawiono kulomioty, by ponad głowami atakujących móc w razie potrzeby skierować ogień na punkty oporu nieprzyjaciela. I tu stała się rzecz tragiczna, która przesądziła losy bitwy. Ledwo kompanja zaczęła się rozwijać, gdy jeden z naszych kulomiotów — prawdopodobnie obsługa w zdenerwowaniu przycisnęła spust bezwiednie — zaczął strzelać. Jak gdyby to było umówione hasło, — mówili później żołnierze, choć zdaniem mojem niesłusznie, że to była zdrada, — od strony Strzyżewa rozpętał się huragan ognia karabinowego i karabinow maszynowych oraz miotaczy granatów.

Równocześnie od Strzyżewa wzbiły się w górę kule ogniste, oświetlające całe przedpole, przez które miał iść nasz niespodziewany atak. Zamiast tego zaskoczone zostały nasze oddziały i nerwy żołnierza, nieujętego jeszcze w karby nowej dyscypliny wojskowej, nie wytrzymały. Wybuchła nieopisana panika. Część kompanji opalenickiej pierzchła w las, potęgując zamieszanie jeszcze tem, że z lasu otworzyła w kierunku Strzyżewa silny ogień, nie bacząc na to, że ogniem tym na oślep kierowanym narażała tych, którzy pozostali nad torem. Woz, który woził telefony i kulomioty, wywalił wszystko do rowu i pognał w panicznym przestrachu do wsi. Reszta kompanji skłębiła się jak stado wróbli gonione przez jastrzębia. Zdawało się, że wszystko stracone, że czekają nas nowe Piłowce. Lecz Klemczak, dzięki swej zimnej krwi i nieustraszonej odwadze potrafił panikę opanować. Jakimś cudem zebrał i uporządkował kompanję i rozwinąwszy ją ponownie do ataku, pamiętając że od tego ataku zależy dalsza akcja, ruszył do szturmu. O ile kompanja opalenicka w pierwszej chwili upadła na duchu, to teraz jakby chcąc zatrzeć pamięć o popłochu, wykazała nieposzlitą bitność. Wprawdzie atak początkowo znowu się załamał, gdyż część kompanji wpadła w torfowiska, lecz Klemczak z niezrównaną brawurą ataki powtarzał. Odparty zbierał kompanję na nowo i na nowo rzucał ją do ataku. Mimo tego, że wieś była b. silnie obsadzona, mimo tego, że ludność cywilna wzięła udział w walce po stronie niemieckiej i prawie każdy dom był zamieniony w fortecę, udało mu się wedrzeć do środka wsi. Niestety nie znając dokładnie terenu, nie mogąc w ciemnej nocy swej kompanji, zdezorganizowanej poprzedniemi wypadkami, ciężką walką i olbrzymiemi stratami utrzymać w swem ręku, musiał dać za wygraną i wycofać się.

Tymczasem wśród tych ciężkich zapasów zbliżała się godzina 6-ta, godzina generalnego ataku. Nadciągnęła kompanja kórnicka, widząc w bezsilnej rozpaczy niemożliwość dostania się do swych pozycyj. Porozumiałem się z dowódcą baonu i uzgodniliśmy, że należy niezwłocznie powiadomić dowódcę frontu o niemożliwości wykonania podstawowej części planu i zwrócić mu uwagę na konieczność odwołania dalszego ataku. Serca nasze drżały przedewszystkiem o losy kompanji jarocińskiej, która miała wykonać frontowy atak, a w tej sytuacji narażona była prawieże na zagładę wobec braku poparcia przez resztę oddziałów, natrafiając na niewzruszone silne pozycje niemieckie. Niestety raporty nasze dowództwa frontu nie osiągnęły. Tymczasem jednak dowódca baonu polecił kompanji śremskiej w centrum i kompanji kórnickiej na lewem skrzydle zająć pozycje nad torem, pozostawiając memu uznaniu decyzję, co do ewentualnej ponownej próby sforsowania Strzyżewa. Dosedłszy do toru zastałem Klemczaka w przejeździe pod torem. Stał sam, ranny, oparty o mur, patrząc w bezsilnej rozpaczy ku Strzyżewu; nad torem stały niedobitki jego kompanji. Błysnęła mi jeszcze jedna możliwość: podpalić, korzystając z ciemności, Strzyżewo i ponownie uderzyć, frontowym wspólnym atakiem na Niemców, pożarem na ich tyłach przestraszonych.

Znalazłem kilku ochotników — straceńców z harcerzami Wierniewskim i Małeckim na czele. Poszli w ciemną noc zaopatrzeni w materjały palne. Z bijącem sercem czekaliśmy na rezultaty tej desperackiej wyprawy. Po kilku ciężkich minutach huk granatów ręcznych i grzmot karabinów maszynowych zawiadomił nas, że wycieczka się nie udała, natrafiając na czujne pozycje niemieckie. Mieliśmy ich za straconych, gdy po kilku dalszych minutach wyłonili się znowu z ciemności, wszyscy cali. Natrafili na pozycję kulomiotu niemieckiego, który zaatakowali ręcznemi granatami, lecz zostali odparci.

Należało więc narazie cierpliwie czekać. Kompanja kórnicka zajęła pozycję nad torem, naprzeciwko południowego krańca Strzyżewa, o jakieś tylko 100 m. od niego oddalona. Nadchodziła godz. 6-ta. Po uprzednim zgiełku bitewnym zapanowała nad frontem cisza pełna oczekiwania. Niebawem grzmot naszych dział i eksplozje ich granatów targnęły powietrzem, zwiastując nam, że atak nie został odwołany. Kilkakrotnie silniejsza artylerja niemiecka nie pozostała dłużną w odpowiedzi, waląc z dział polowych i haubic w lasy w poszukiwaniu za pozycją naszych bohaterskich 2 dział. A mieli ku temu wielki powód.

Niebawem bowiem nad dworcem zbąszyńskim zajaśniała łuna. To paliła się fabryka krochmalu, zamieniona na koszary Grenzschutzu, którą zapaliły pierwsze zaraz nasze granaty. Artylerja spełniła więc swoje zadanie, lecz nie było kompanji kórnickiej na wyznaczonej pozycji, żeby skutek ten wykorzystać. Narazie obydwa fronty znieruchomiały, wsłuchując się w to zmaganie się artylerji, któremu towarzyszył fajerwerk bezustannie wytryskujących rac różnokolorowych nad całym frontem niemieckim. Przyszło na chwilę jakieś zapamiętanie, jak gdyby nas to nic nie obchodziło, jak gdyby ktoś na naszą cześć urządził wielkie przedstawienie. Lecz gdy zbliżała się godzina pół do siódmej, ścisnęły się znowu serca złowrogiem pytaniem, czy kompanja jarocińska wypełni swój rozkaz, idąc na niechybną zgubę? Wkrótce jak pod batutą kapelmistrza zamilkły działa, nastąpiła chwila złowrogiej ciszy i oczekiwania. W tem doleciał do nas daleki krzyk, a wkrótce potem zawtórował mu grzechot karabinów maszynowych i huk pękających ciężkich min. To kompanja jarocińska wierna swym rozkazom, nieświadoma, że idzie sama na ciężką walkę, ruszyła do szturmu, a walił się na nią huragan żelaza wzmocniony całą artylerją niemiecką, która obecnie zwróciła swój ogień na atakujących. A my tymczasem, którzyśmy im mieli nieść pomoc, odpoczywaliśmy bezpieczni.

Rozejrzałem się po kompanji i wyczułem tę samą myśl. Honor żołnierza Polaka nie pozwalał czekać w spokoju, aż tamci serdeczni towarzysze się zekrwawią. Krótki rozkaz: „Bagnet na broń", „Do szturmu!" i potężny okrzyk „Niech żyje Polska!" wzbił się pod niebo. To 1 i 2 pluton kompanji kórnickiej runął poprzez tor do ataku. Odrazu całe Strzyżewo ożyło. W oknach każdego prawie domu błysnęły strzały, huknęły granaty, a z boku zaterkotały karabiny maszynowe. Ściskając karabin biegłem bez opamiętania, gnany uczuciem zemsty, ku najbliższemu domowi, z którego okien błyskał ogień strzałów karabinowych. Gdym dobiegł do ściany zbawczej i obejrzałem się, by wydać dalsze rozkazy, zdrętwiałem. Obok mnie stał Wierniewski, pozatem byłem sam. Zrozumiałem! Kompanja dostała się w krzyżowy ogień kulomiotów z przodu i zboku i atak się załamał. Jak się później dowiedziałem ledwo kompanja ubiegła kilkanaście kroków, gdy padł śp. Żurawski, 2 dalszych śmiertelnie i kilku lżej rannych. Kompanja się zachwiała, lecz tylko na chwil parę. Na ponowny rozkaz kompanja poderwała się do dalszego szturmu, tym razem docierając do wsi, podczas gdy Kęszycki ze swoim kulomiotem zaczął się skutecznie rozprawiać ze zdradliwemi kulomiotami niemieckiemi.

I rozpoczął się ciężki bój o każdy dom, bój, którego zdradliwość zna każdy żołnierz, który kiedykolwiek brał udział w ulicznej walce. Jeszcze dziś widzę tych dwóch wiarusów, Sarnowskiego i Miskę, jak z nasrożonemi wiechami swych wąsów z bagnetem w ręku wpadają poprzez drzwi wyrwane granatem Wierniewskiego do ciemnej czeluści sieni pierwszego domu. Lecz nieprzyjaciel nie dopuszczał do walki na białą broń i znikał, ilekroć nasz żołnierz wdzierał się do wnętrza domu. Nie wiadomo czy Niemcy uciekali, czy chowali się po nieznanych nam zakamarkach, by na tyłach naszych podjąć walkę. To uchylanie się od walki wręcz — jednego tylko zabraliśmy jeńca — było jednak niebezpieczne i niepokojące. Kompanja prąc naprzów, by wykorzystać pierwszy impet i popłoch nieprzyjaciela, nie mogła się bawić w dokładne przeszukiwanie domów, musiała jednak zostawiać obsadę na tyłach, przez co jej siły w miarę głębszego wdzierania się do wsi, katastrofalnie topniały. By zapobiedz okrążeniu nas, rzuciłem wprawdzie na lewe skrzydło kulomiot Kęszyckiego. Lecz przyszedł moment, gdzie dalsze posuwanie się ku środkowi wsi byłoby warjactwem i groziło katastrofą odcięcia. Niestety nie doczekałem się ataku od frontu. Kompanja opalenicka nie była już zdolna do ponownego skutecznego ataku.

Uzyskawszy zgodę dowódcy baonu, dałem więc z ciężkiem sercem rozkaz do odwrotu, tembardziej że zauważyłem ruchy nieprzyjaciela, skierowane na obejście mego lewego skrzydła i odcięcie nam linji odwrotowej. Dochodził do tego fakt, że tymczasem walka na froncie kompanji jarocińskiej również ucichła, co świadczyło o nieudaniu się ataku. Kulomiot Kęszyckiego zaś sam bez oparcia o piechotę nie dawał dostatecznego zabezpieczenia.

Tymczasem zaczął się budzić ponury, mglisty dzień zimowy. Odwrót musiano wykonywać w świetle dziennem pod ogniem kulomiotów i karabinów niemieckich. Dopóki kompanja cofała się przez wieś, zasłonięta domami, niebezpieczeństwo nie było wielkie. Tembardziej, że Niemcy nie ochłonęli jeszcze z przestrachu i bezpośrednio nie napierali, również nie przedstawiało wielkich trudności cofnięcie się do samego toru kolejowego, gdyż małe zagłębienie terenu, ciągnące się od wsi do toru, zakrywało częściowo nasze ruchy przed okiem nieprzyjaciela. Dopiero dotarłszy do toru samego, naokoło 10 metrów wznoszącego się ponad doliną, spostrzegliśmy trudności położenia. Tor trzeba było przekroczyć. Tymczasem nieprzyjaciel, oceniając nasze położenie, zaczął naszą linję odwrotową, to jest właśnie ten wysoko położony tor, zasypywać gradem pocisków.

Długą chwilę przystanęły plutony pod torem bezradne. Za torem oczekiwał nas spokój i upragniony odpoczynek po całonocnej walce. Lecz dzieliła nas od niego kilkunastometrowa śmiertelna droga. Nad głowami brzęczały roje kul z charakterystycznem, drażniącym nerwy żołnierza, poświstem; metalowy dźwięk pocisków, uderzających w szyny i druty kolejowych sygnałów dowodził, że nieprzyjaciel dobrze uchwycił cel. Lecz nie było rady. Dalsze pozostawanie przed frontem nieprzyjacielskim bez większego zakrycia, stawało się ze sekundy na sekundę niebezpieczniejszem. Na dany więc sygnał grupkami, po dwóch, trzech, kompanja zaczęła przeskakiwać tor i to dla szybszego posuwania się drogą, przez tor prowadzącą. Drogą tą wprawdzie specjalnie interesowały się kulomioty niemieckie, koncentrując ogień przeważnie na nią, lecz dawała ona możność przebycia jej biegiem. Zgięci w kabłąk, tuląc się jak najbardziej ziemi, jak kule z procy wystrzelone, przepryskiwali żołnierze tor, zręcznie wyzyskując przerwy ogniowe. I jakby cudem jakimś, to właśnie najniebezpieczniejsze miejsce w krwawym tym dniu przebyła kompanja bez strat. Na końcu Kęszycki ze swym ciężkim kulomiotem. Znaleźliśmy się z drugiej strony toru. Chyba żeglarz tylko, zawijając z morza zmaganego orkanem do cichej zatoki, zdoła ocenić uczucie żołnierza, znajdującego w wierze walki pewną osłonę przed pociskami. Odprężenie nerwów jest tak wielkie, że myśl nawet sama o konieczności przebycia powtórnego piekielnej drogi napawa lękiem.

Lecz radość nad własnem ocaleniem zatruwa wieść o tych, którzy zginęli. Zostali po tamtej stronie, lecz trudno! Dla martwych nie można narażać żywych. Nagle dowiadujemy się, że został tam także i jeden z naszych ciężko rannych. Spojrzałem po kompanji. Pospuszczali głowy i odczułem, że wszyscy myśleli to samo. Nie można zostawiać rannego bezbronnego towarzysza, na pastwę rozsierdzonego walką żołdactwa Grenzschutzu. Któż jednak odważy się wrócić po niego w tę gardziel śmierci rozwartą wciąż jeszcze nad torem?

Lecz wahanie było krótkie. Gdy zawezwałem, by zgłosili się ochotnicy, którzy wiedzieli, gdzie leży ranny towarzych, odrazu wystąpiło trzech! I poszli, a raczej popędzili z powrotem przez tor. Minęło kilka ciężkich minut. Wiedzieliśmy, że nasze przejście przez tor było fraszką w porównaniu z ich powrotem, gdyż obciążeni ciężarem rannego powoli tylko posuwać się będą mogli po drodze, zasypanej kulami.

Wreszcie ukazali się z powrotem, ciężko stąpając pod drogim ciężarem. Z zapartym oddechem kompanja śledziła ten kilkadziesiąt sekund trwający powrót przez tor. I przebyli go szczęśliwie. Do dziś jeszcze nie mogę zrozumieć, że żadna z tych setek kul, padających na drogę, ich nie tknęła. Widzę ich ciągle, uginających się pod ciężarem, idących spokojnie i powoli, jak gdyby nie czyhała na nich przy każdym kroku śmierć. A przecież nieprzyjaciel strzelał tak celnie, że gdy równocześnie wzdłuż toru na jego grzbiecie rozłożyłem posterunki i te ledwo czubek głowy wychyliły, jadnemu z nich kula zaraz czapkę tuż nad czołem przeszyła, a przed drugim inna, upadając tuż przed nosem, tak go obryzgała żwirem, że jak zając śrutem trafiony kilka koziołków wywinął w dół toru. Widocznie bohaterstwo tamtych otoczone było szczególną opieką tego, co kieruje losami ludzkiemi.

Teraz kompanja rozsypała się wzdłuż toru znowu w tyraljerkę i podjęła ogień karabinowy na pozycje nieprzyjacielską, by odebrać mu odwagę do kontrataku.

Tymczasem Chosłowski zarządził odwrót wszystkich oddziałów, poruczając kompanji kórnickiej krycie odwrotu. Jak tylko inne oddziały odmaszerowały, zaczęła kompanja kórnicka wycofywać się z nad toru. A był gwałt największy, gdyż na naszem lewem skrzydle silny oddział niemiecki przeszedł tor i zaczął przez lasy nas okalać. Poleciwszy 1 i 3 plutonowi zająć pozycje o kilkaset kroków wstecz, zatrzymałem pluton 2 nad drogą Łomnica — Strzyżewo, mając z flanki wielki poręb. Wkrótce nadciągnęła poza mego tyraljera niemiecka, niespodziewająca się już w tem miejscu oporu. Dowódca plutonu, Walkowiak, dopuścił ich na kilkadziesiąt kroków i przywitał tak skutecznym ogniem, że Niemcy pierzchli, zostawiając zabitych i rannych. Teraz pluton połączył się z resztą kompanji, która zajęła pozycje po obu stronach drogi, przyczem część kompanji obsadziła położone na prawem skrzydle w polu małe laski. Wkrótce Niemcy usiłowali się na obsadę tych lasków i przywitani silnym ogniem, również pierzchli.

Gdy równocześnie na rozkaz Chosłowskiego artylerja nasza zaczęła strzelać na Strzyżewo, prawe skrzydło kompanji, zachęcone ucieczką Niemców, ruszyło do kontrataku i obsadziło zpowrotem część toru, podejmując ogień na Strzyżewo. Ponieważ jednakże ustawione nad torem kulomioty niemieckie zaczęły ostrzeliwać flankowym ogniem tor, dalsze trzymanie toru okazało się bezcelowem, wobec czego kompanja cofnęła się na dalsze pozycje, tym razem na wzgórzach wśród rzadkiej drągowiny, zdecydowana, gdyby nieprzyjaciel miał dalej napierać, rozprawić się tutaj z nim gruntownie. Blisko godzinę kompanja wśród przejmującego zimna wytrwała na tej pozycji umocnionej karabinami maszynowemi. Niebawem nadciągnęli Niemcy, lecz nauczeni doświadczeniem bardzo ostrożnie, a zmiarkowawszy zasadzkę, cofnęli się definitywnie do Strzyżewa.

(Dokończenie nastąpi.)

SATYRA

MIKADO

Kraciaste spódniczki...

Rzucamy jasne światło reflektora na kraciaste spódniczki! Robimy błyskawiczny reportaż ze Szkocji, z krainy skąpstwa, dochodzącego do absurdu. Sięgnijmy do t. zw. „skarbnicy" humoru (tylko, broń Boże, nie do szkockiej kieszeni!!) i... mówmy o Szkotach:



Gaudy Mac Clellan z Aberdeen został zaproszony do Edynburga na ślub swego przyjaciela Duffy Mac Gratha.

Minął tydzień, a Gaudy nie zdradzał jakoś zamiaru powrotu do domu. Wreszcie zniecierpliwiony gospodarz postanowił dać mu do zrozumienia, że jego obecność staje się niepożądana:

— Czy nie uważasz, że twoja żona i twe dzieci tęsknią już za tobą i że brak im ciebie?

— Masz rację — odparł Mac Clellan — będę musiał napisać do nich, żeby tu przyjechali!



— Słuchajno, Sandy — rzecze żona do swego męża, Mac Fergussona — dlaczego kupiłeś sobie taki duży kapelusz? Spada ci przecież na oczy. Czy nie było mniejszego?

— Owszem — odpowiada Sandy — ale większe były w tej samej cenie, co mniejsze!



— Wiesz — mówi Mac Kirby do Mac Grady'ego — dziś są moje urodziny!

— Winszuję! — woła Mac Grady. — Zaraz dostaniesz odemnie prezent.

— Jaki?

— W następnej partji oddam ci jedną wieżę i dwa pionki!



Do publicznej ubikacji w Aberdeen wbiega szybkim krokiem Puffy Mac Gregory, rzuca okiem na „cennik", wiszący na ścianie, poczem woła:

— Strasznie tu drogo u was! Przyjdę lepiej, jak będzie wyprzedaż!



Tim Mac Mackie spotyka po *trzydziestu* latach niewidzenia swego starego przyjaciela Sandy Mac Cormicka.

— Musimy to koniecznie oblać! — woła Mack Cormick.

— Chętnie — odpowiada Tim — ale nie zapominaj Sandy, że ostatnim razem ja płaciłem!



— Państwo adoptowali dziecko?

— Tak, sześcioletniego chłopczyka.

— Czemu nie dziewczynkę? Byłaby później pomocną w gospodarstwie.

— Tak, to prawda, ale mieliśmy w domu starą czapkę.



Młody Mac Kornick wyjeżdża w sprawach handlowych do Londynu. Ojciec odprowadza go na dworzec:

Masz tu pustą kopertę ze znaczkiem. Jak przyjedziesz na miejsce, to wrzuć ją do skrzynki. Kiedy ją otrzymam, będzie znaczyło, że szczęśliwie przyjechałeś.

— Owszem — odpowiada syn — tylko pocóż ten znaczek. Przecież koperta bez znaczka i tak dojdzie, ojciec listu nie przyjmie i będzie wiedział, że przyjechałem szczęśliwie!



Pewien Szkot poszedł z panną na spacer. Szkoda mu było pieniędzy na jakiś lokal publiczny, oprowadzał więc swą damę przez cztery godziny po piasku. Gdy już prawie mdlała ze zmęczenia, zmuszony był zafundować jej jedną kanapkę. To kosztowało szylinga.

W domu ogarnęła panienkę wściekłość; wzięła dorożkę, pojechała do kawalera i rzuciła mu szylinga pod nogi...

— Mój Boże — powiedział Szkot, chowając monetę — przecież miała pani z tem czas i do jutra...

GWIDON MIKLASZEWSKI

Jeszcze świerzop...

MOTTO:

Jest w I. księdze Pana Tadeusza
taki wstęp, panie doktorze:
„Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg
biała...“
I właśnie przez ten świerzop neurastenja cała.
O Boże, Boże...

K. I. Gałczyński.

Moi panowie! Skończcie już raz tę szopę
z onym świerzopem,
bo gotów jestem popełnić faux pas
i zachorować na kompleks — świerzopa...

Od kilku miesięcy po słownikach grzebię —
tu czytam, że — roślina, a tam, że — źrebię!!
Przewertowałem wszystko na literę eś...
mam tego już dosyć i mam świerzop...
gdzieś!

Tylko mi jeszcze powiedzcie, mistrze,
czyli to roślinka, czyli zwykłe bydlę? —
Odezwijcie się, mędrce! Przemówcie Nitsche
Le dernier Kri-dle...

Przecież piszecie dla studenckiej wprawki
takie przeróżne rozprawy, rozprawki: —
„Bezrobocie a Pan Tadeusz" —
„Adam Mickiewicz a Bigda Mateusz" —

Więc, moi panowie, uczeni w rękopiśmie,
jeszcze jeden taki traktacik napiszcie,
może się komu przyda rozprawka taka mała:
„Świeżo parzony świerzop a żony grdyka jak
śnieg biała". —

tylko dla smakoszów

ENCYKLOPEDJA.

Buddysta — właściciel budk z papierosami.

Donosiciel — człowiek, który „donasza" starą garderobę

Koniuszek — syn koniucha.

Małżonka — samica małża.

Niepoczytalny — analfabeta

Rękojeść — bardzo nieładnie — należy jeść nie ręką, ale łyżka lub widelcem.

Duplikat — podwójny tył.

Kommnikaty — Rada Miejska.

Okrasomówca — człowiek, gadający tłuste dowcipy.

Nie oczerniaj mnie! — powiedziała pokojówka do czulącego się do niej kominiarza.

„Gdzie twoje serce..." — zaśpiewał doktór, chcąc zbadać serce pacjenta.

— *Ty mnie nic a nic nie obchodzisz!* — skarżyły się imieniny solenizantowi.

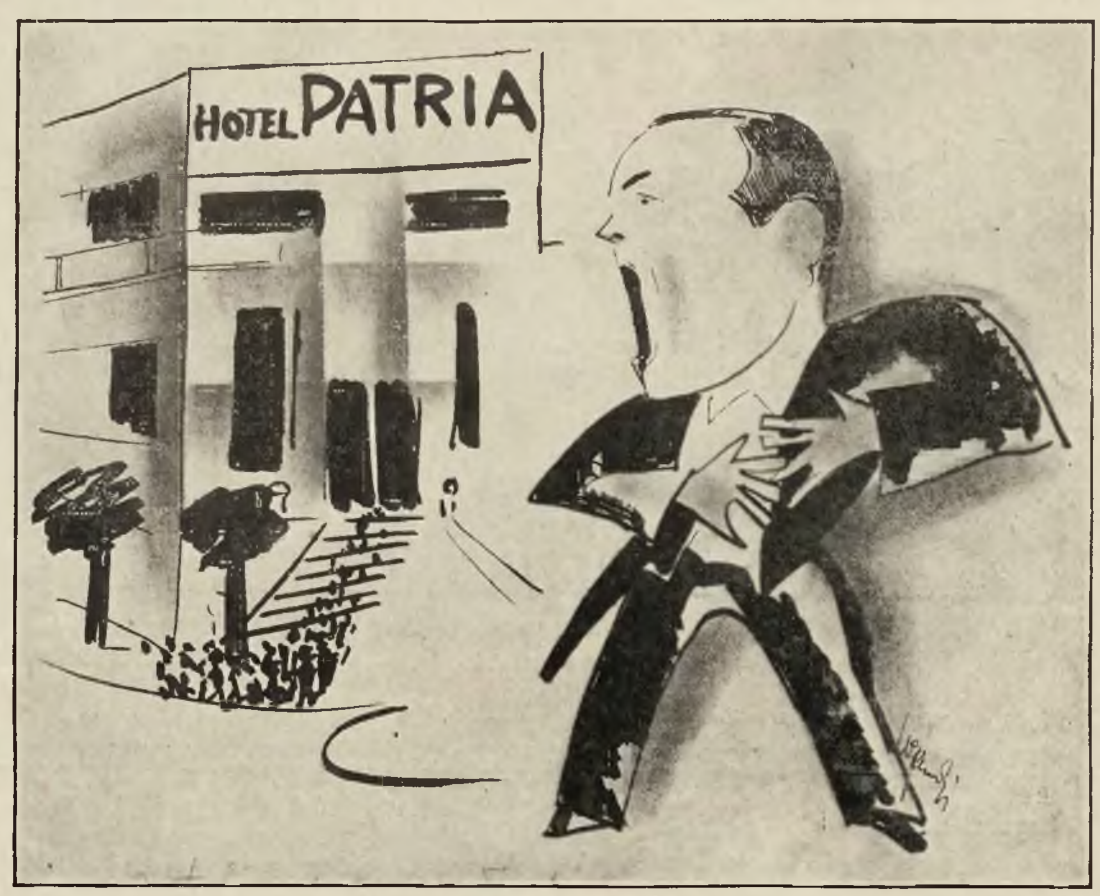
— *Jesteśmy zgrani!* — powiedzieli sobie dwai pianiści, Kardaś i Dzięgielewski, wychodząc z kasyna gry w Monte Carlo.

— *Kiermasz!* — wykrzyknął brydżysta, dając partnerowi asa kier!

— *Można pęknąć ze śmiechu* — powiedział balonik, łaskotany przez sprzedawcę

— *Do mnie już pies z kulawą nogą nie przychodzi* — skarżył się weterynarz w okresie kryzysu.

Ibi bene, ubi... Patria!



Rys. Wit. Gawęcki

Arja z opery... Hotello:
— O tobie marzę całe dnie...



STANISŁAW SOJECKI

Errata

(wyjątek z epopei: hajże na g-rydze!)

Panu od różnych „Wiadomości" z świata
W gronie serdecznych radzono przyjaciół,
Aby, gdy pozbył się już uni-l-katów,
Wyjrzał nareszcie raz na dzienne światło.

Tedy ów, blednąc i drżąc niby listek,
Minę niepewną jako zając stroi:
— Żebym tak zdrów był, to kłopot nie wszystek,
Przyznam sze panom, co jeszcze mam boy'a...

PRZEMYSŁAW MICHAŁOWSKI

Cyprjan Norwid jako malarz

Postać Cyprjana Norwida i jej charakterystyka byłaby niekompletna, gdyby nie pamiętano także o Norwidzie — malarzu.

Jest rzeczą charakterystyczną i ciekawą, jak bardzo często pewne zdolności malarskie i rysunkowe idą w parze z wielkim talentem literackim. Objawiają się one rzecz prosta w mniejszym lub większym stopniu. Potrzeba tylko wymienić np. Goethego, którego rysunki z podróży do Włoch są powszechnie znane, a z naszych chociażby Kraszewskiego, którego obrazy olejne wiszą nawet w niektórych muzeach polskich, a z nowszych Kasprowicza, Orkana, nie mówiąc już o Wyspiańskim, któremu genjusz malarski i literacki pozwalał na tworzenie w obu dziedzinach arcydzieł.

U Norwida talent ten rozwinął się w znacznym stopniu i wielką rolę odegrał w jego twórczości. Zresztą, że Norwid nie zabawiał się rysowaniem tylko dla zabicia czasu, świadczy chociażby dość wielka liczba dzieł pozostałych po nim. Dowodzi tego również drugi fakt, ważniejszy. Otóż Norwid zamierzał nawet w zupełności poświęcić się malarstwu i w tym celu kształcił się zrazu w Warszawie u Kokulara, klasyka z I poł. XIX w. w jego prywatnej szkole malarskiej, a następnie w r. 1844 we Florencji u rzeźbiarza Pampaloniego.

Pomimo jednak tych przygotowań brak Norwidowi porządnej szkoły malarskiej, ponieważ w gruncie rzeczy studja u Kokulara i Pampaloniego przeprowadzone były dość dorywczo i dlatego często sztuka jego wpada w dyletantyzm. Złożyło się może na to dość wiele czynników, ale najważniejszym jest ten, że najgłówniejsze miejsce w twórczości jego zajęła twórczość literacka. Dlatego może Norwid wielkiej roli w rozwoju malarstwa polskiego nie odegrał, ani znaczniejszego miejsca w nim nie zajął, ale jest ciekawy ze względu na swój sposób i koncepcję pojęcia malarskiego, jako ostatni, wielki, spóźniony romantyk polski. Bowiem w całej jego twórczości romantyzm jest najsilniejszym i bodaj jedynym bodźcem. A spóźnionym dlatego, że Norwid tworzy i działa stale na gruncie paryskim, jeżeli nie liczyć podróży i pobytu w Nowym Jorku w latach 1852/54, gdzie romantyzm skończył się właściwie z rewolucją 48 roku, kiedy pierwsze kierunki realistyczne zajmują stanowisko dominujące, a nawet kiedy już w 10 lat później pojawiają się pierwsze prace Maneta, które są niejako zapowiedzią impresjonizmu.

Norwid pozostawił po sobie rysunki, akwarele, nieliczne obrazy olejne, akwaforty, dość rzadkie, odbijane przeważnie w małych ilościach i medaljon bronzowy Zygmunta Krasińskiego, który się dochował jedyny z jego prac rzeźbiarskich. Rysował kompozycje religijne, rodzajowe, fantazje, alegorje, portrety osób, z któremi się stykał, np. portret Mickiewicza, Słowackiego, Hoene - Wrońskiego i in. Doskonale przedstawił typy uliczne, które zdradzają bystrą obserwację natury i dużą zdolność oddawania paru kreskami charakteru postaci. Często wybija się na pierwszy plan treść satyryczna, karykaturalna lub alegoryczna, trudna zwykle do odgadnięcia. Niekiedy osobiste notatki artysty uzupełniające rysunek pozwalają zrozumieć myśl filozoficzną.

Najchętniej pracował Norwid w technice akwarelowej, bo, jak sam się wyrażał, „o wiele wieków od olejnej starsza i większą gammę obejmuje", a nawet miał ambicję „tam doprowadzić aquarellę, gdzie jeszcze nie była, to jest aby narówni i więcej niż olejne wyrażać mogła wszystko". Bardzo dużo być musiało tych akwareli, więcej niż znamy, bo Norwid w drugiej połowie życia głównie się z nich utrzymywał, i właśnie skutkiem tego rozeszły się niewiadomo dokąd, zakupywane przez handlarzy obrazów.

Jest ciekawą rzeczą, że nietylko za pomocą palety Norwid utrwalał swe dążenia artystyczne, ale i w rzeźbie. Z jedynego, jak już wyżej wspomniałem, dochowanego dzieła rzeźbiarskiego, medaljonu Krasińskiego, widzimy że był rzeźbiarzem zdolnym. W listach swych pisze o rozmaitych rozpoczętych pracach rzeźbiarskich, a Kraszewski gdy odwiedzał Norwida opisuje ciekawy krucyfiks drewniany, jego roboty, wiszący nad jego łóżkiem.

Mimo rozproszenia prac Norwida znajduje się wielka część jego dzieł w kraju. I tak w Muzeum Narodowem i Muzeum Czartoryskich w Krakowie mamy zbiór jego rysunków. Większa kolekcja znajduje się w spuściźnie pośmiertnej poety i w paru zbiorach prywatnych.

Ciekawe jest zdanie Norwida jako teoretyka sztuki o sztuce polskiej. W poematach swoich często stawia postulaty, według których powinna się kształtować i podkreśla konieczność jej oparcia się o pierwiastki *narodowe i ludowe*. Charakterystyczne też jest jego zdanie o malarstwie Matejki, które określa nam dokładnie i daje poznać pogląd Norwida na sztukę wogóle, która jego zdaniem musi być wzniosła, posiadać majestat, której nie wolno przedstawiać drastyczne namiętności i uczuć ludzkich, choćby najbardziej szlachetnych. Przyznaje on, że Matejko jest jednym z najbieglejszych malarzy w



C. Norwid. „Portret Wł. hr. Łubieńskiego".



Europie, ale surowo go krytykuje za brak jakichkolwiek ideałów i artyzmu, zarzuca mu brutalność i zbytni realizm i ma mu za złe, że niema u niego, jak mówi „żadnego senatorskiego gestu, żadnego męża togi, żadnej parlamentarnej fałdy na ramieniu".

Na zakończenie chcę podać krótką bibljografję Norwida, co i jak o nim dotychczas pisano jako o malarzu. W swojem dziele „Sto lat dziejów malarstwa w Polsce" pisze o nim Mycielski dość dużo wprawdzie, ale nie uznaje go wcale za malarza, raczej za dyletanta; uważa, że jego sztuka nie ma nic wspólnego z Polską i nie ma w sobie nic narodowego. W r. 1908 poświęcila Norwidowi cały tom „Chimera", w której zresztą jest niedużo o nim jako malarzu. W „Wiadomościach Numizmatyczno - Archeologicznych" z r. 1896 podaje Kopera życiorys własny artysty, znaleziony w zbiorach Tow. Numizmatycznego, wraz z dość obszernym, ale mimo wszystko niekompletnym wykazem dzieł, w którym spotykamy wiele rzeźbiarskich. A w „Dziejach malarstwa polskiego" t. s. Kopera, charakteryzuje krótko i trafnie twórczość, akcentując jej zagadkowość i dziwaczność. W leksykonie Thieme - Beckera podaje Batowski, zwięźle notatki biograficzne, krótką charakterystykę i dokładną bibljografję. Wreszcie w n-rze 2 „Grafiki" z r. 1933 znajdujemy dość obszerny zbiór reprodukcji dzieł Norwida. To wszystko, jeżeli nie liczyć krótkich, ograniczających się niekiedy do jednego zdania wzmianek w poszczególnych historjach sztuki.

Jak widzimy, jest to bardzo niewiele, a Norwid jako malarz, w każdym razie zasługuje na większe uznanie i zajęcie się jego sztuką, niż to się dzieje dotychczas. Albowiem jego twórczość malarska jest bardzo silnie związana z twórczością literacką i odzwierciadla dosadnie rozmaite stany i nastroje jego duszy, odgrywając w ogólnej charakterystyce jego postaci rolę ważną.



C. Norwid. „Dolce far niente".



C. Norwid. „Chrześcijanie".

Z WYSTAW

A. Kędzierski
w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych

Kędzierski był uczniem Brandta. Lecz nie poszedł śladami swego mistrza i szybko wyszedł ze szkoły monachijskiej, aby wnet odnaleźć siebie.

Jego pole działania i zainteresowania to lud i przyroda. Olbrzymie bogactwo ich folkloru i motywów jest dla niego nieprzebranem źródłem, z którego czerpie swe natchnienie.

Malarstwo Kędzierskiego to czysty impresjonizm, to poszukiwanie wrażeń w plenerze. A najgłówniejszem z nich to światło, naturalne, słoneczne. Na jego podstawie tworzy swe wielkie kompozycje, swoich licznych, ulubionych „Rybaków". Wszelkie możliwe efekty, jakie mu ono daje, wykorzystuje skwapliwie. Rozlewa je szeroko po całym obrazie, zatapiając w niem wszystko, to znowu rozdrabnia i rozrywa w gęstwinie drzew lub kontrastuje cieniami.

Dlatego najulubieńszą techniką Kędzierskiego i najbardziej mu odpowiadającą jest akwarela, jako dająca najwięcej możliwości. Posługuje się też nią po mistrzowsku.

Skala efektów kolorystycznych Kędzierskiego jest szeroka, od rozpalonego światła, roztapiającego i pochłaniającego kontury rysunku, aż do czysto dekoracyjnego ujmowania motywów. Każdy z pośród nich jest dla niego tematem głębokiego przeżycia malarskiego.

Kędzierski jest bystrym obserwatorem natury i podchwytuje ją we wszystkich wdziękach jej krasy i najpiękniejszych przejawach.

Cechą charakterystyczną jego faktury jest wielka błyskotliwość i migotliwość pociągnięć pendzlem i koloru. Sprawia to wrażenie wielkiej żywości i ruchu i przyczynia się do dużego zainteresowania i zaciekawienia widza.

Wystawa w Tow. Przyj. Sztuk P. jest doskonałym obrazem twórczości Kędzierskiego, gdyż uwidacznia doskonale wszystkie jej cechy stylistyczne i swym wysokim poziomem daje dowód ciągłej młodości i żywotności mistrza.

Obrazy A. Kędzierskiego są nietylko dobrze skomponowane, narysowane i namalowane, są naprawdę piękne.

Wystawa zbiorowa Rafała Malczewskiego w IKS-ie

Pamiętając jeszcze wystawę zbiorową Rafała Malczewskiego w Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w styczniu 1933 r., stwierdzić można fakt zasadniczy: poziom obecnej jest wiele od poziomu tamtej niższy. Rzeczy wystawione są bardzo słabe. Pochodzą one z ostatniego roku, więc jako wyraz najświeższej twórczości świadczą o wielkim upadku i, miejmy nadzieję, chwilowym zaniku talentu. Poznać jeszcze można cechy charakterystyczne, lecz śladu niema tych wszystkich zalet, jakie stanowiły o dużej wartości obrazów Malczewskiego. Koloryt jest słaby, a miejscami wprost wstrętny, brak ustosunkowania poszczególnych partji i planów krajobrazu do siebie, skutkiem czego rozmaite motywy wybijają się fałszywie jedne przed drugie, spowodu czego powstają czasem dziwne rzeczy. Z niektórych płócień bije poprostu dyletantyzm początkującego malarza, nie umiejącego sobie poradzić z najprostszemi zadaniami. Nawet to dobre wyczucie dalekiej przestrzeni pejzażu, jakiem się zawsze odznaczały obrazy R. Malczewskiego, jest unicestwione okropnym kolorytem.

Gorzej jeszcze przedstawiają się jego akwarele. Większe banały trudno sobie wyobrazić.

Jedynem co jest ciekawe i godne uwagi, to oryginalna faktura, z jaką rozmaicie traktuje swoje płótna. Daje mu ona różne zalamania świetlne i efekty ożywiające obrazy.

Ale to wszystko jeszcze za mało, by móc usprawiedliwić fakt wystawienia kiczów. Publiczność poznańska nie jest tak naiwna, niewyrobiona i niekulturalna, żeby ją można karmić taką strawą artystyczną, lecz potrafi ocenić podobne „wyczyny", które jej podsuwają z reklamą: „patrzcie i podziwiajcie", i zna się na prawdziwych wartościach sztuki.

HILARY MAJKOWSKI

Wiktor Gosieniecki

Interesujący się zagadnieniami kulturalnemi Wielkopolski, Śląska i Pomorza, napotykał dość często na nazwisko: Wiktor Gosieniecki. Kim jest więc Wiktor Gosieniecki? Odpowiedź zaiste nie trudna dla nas garstki ludzi, pracujących w rodzimym regjonie. Dla laika jednak należy się wytłumaczenie. Otóż z nazwiskiem tem łączy się w jednej osobie dusza obywatela, artysty - malarza, polichromisty, rysownika, pedagoga, zbieracza starych zabytków architektonicznych ziem zachodnich Polski, a przytem jednego bodaj śród Wielkopolan ucznia, entuzjasty i epigona przewodnich myśli polskiego Sokratesa — Stanisława Witkiewicza, autora „Na Przełęczy" i „Z Tatr", myśliciela, estety, malarza, budowniczego i twórcy sztuki podhalańskiej w jednej osobie. Poświęćmy wpierw malarstwu i osobie prof. Gosienieckiego naszą uwagę.



Plakieta prof. Jana Wysockiego.
Fot. R. S. Ulatowski.

Twórczość artysty bieży w kierunku dekoracyjnym, opartym na fundamentalnych podstawach rozległych studjów folkloru polskiego, czyli sztuki stosowanej, wywodzącej się z prymitywu regjonalnych dążeń naszego ludu. Stąd widzimy u prof. Gosienieckiego to gorące ukochanie polskiej sztuki ludowej, tę sumienność i pracę w zbieraniu motywów rdzennie ludowych i skrzętne notowanie tych dokumentów w jego licznych rysunkach, akwarelach, a nadewszystko w świetnie opracowanych tekach autolitografji, pt. **„Zabytki Sztuki Rodzimej Polski Zachodniej"**, którego to wydawnictwa zeszytu czwartego, część pierwszą, omówimy później.

Wobec coraz to częściej zachodzących faktów wandalizmu, burzenia pomników kultury rodzimej, dewastacyj, pożarów*), nieudolnych przeróbek i zupełnego wypierania sztuki ludu polskiego, zbiory prof. Gosienieckiego stanowią **nieocenioną** wartość, tem wiekszą, że kiedyś uczyć się będzie przyszłe pokolenie — razem z Glogerem — poznawać kraj, obyczaje, sztukę i architekturę słowiańszczyzny. W zamiłowaniu artysty do sztuki ludu polskiego jest i ta wielka wartość, że właściwie źródeł techniki ludowej nie znamy. Zagadnienie to, mogące rzucić dużo ciekawych szczegółów na rolę poszczególnych ziem w rozwoju kultury polskiej, podjął Stanisław Witkiewicz. Gosieniecki stał się najbliższym kontynuatorem przewodnich myśli Witkiewicza, współpracując z nim szereg lat na tym polu. Stąd to wielkie ukochanie ludu i tego co z niego wyszło.

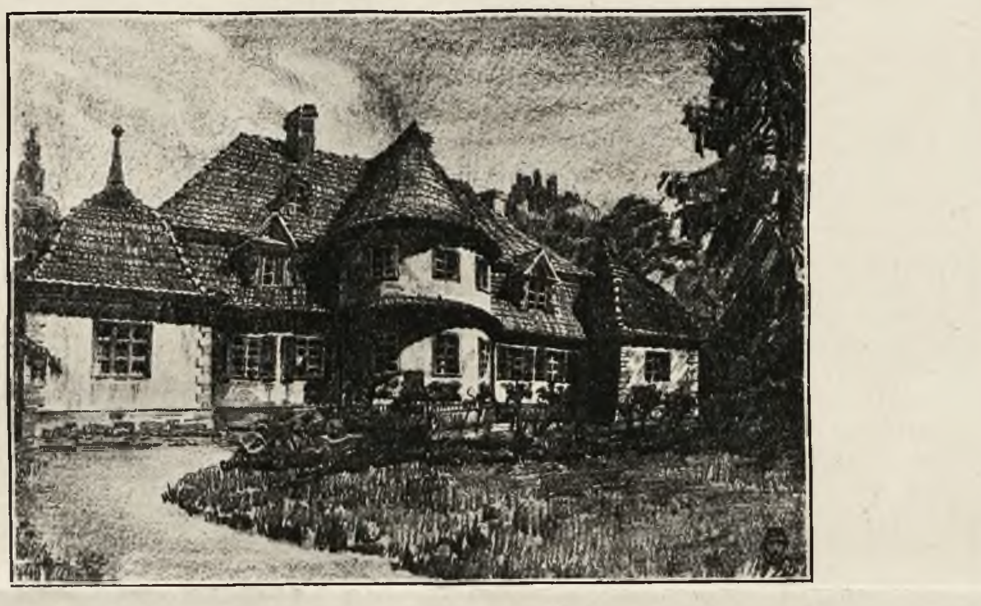
Malarstwo prof. Gosienieckiego nosi przedewszystkiem cechy dekoracyjne. W swoje projekty wnętrz kościelnych wplata artysta z upodobaniem motywy ludowe, góralskie, huculskie i ruskie. Czy to będzie cucha góralska, czy stary haft ruski, wycinanka, czy wreszcie kilim, fresk cerkwi rumuńskiej, ceramika Spisza, Orawy, wszędzie znajdzie coś ciekawego i niezwykłego, godnego utrwalenia na płótnie lub rysunku. Krajobrazy swe traktuje szerokiemi zdecydowanemi plamami, osiągając i na tem polu wyniki nieprzeciętnego pejzażysty. Do mistrzostwa doszedł artysta, stwarzając „Chrystusa na krzyżu" — projekt dekoracji kościelnej o pięknem rozwiązaniu kompozycyjnem i perspektywicznem.

Studja malarstwa dekoracyjnego odbywa w Berlinie i Monachjum. Jest przez pewien czas uczniem Grabowskiego (czasy monachijskie) wespół z Krzyżanowskim i Edwardem Trojanowskim. Sześć zimowych sezonów współpracuje prof. Gosieniecki z Stanisławem Witkiewiczem w Zakopanem w okresie przezeń tworzonego stylu zakopiańskiego, opartego na motywach Podhala. Zwiedza w latach 1902/4 Wschodnią Małopolskę, Bukowinę, Bułgarję, gdzie napotyka na osławione rebelje chłopskie (1904 r.), utrudniające mu dalsze kontynuowanie studjów ludoznawczych. Na podstawie zebranych motywów ruskich zdobi — z polecenia Dzieduszyckiego — cerkiew w Wielkim Żechowie. Z biegiem lat, poza renowacją Złotej Kaplicy w katedrze poznańskiej**), zdobi szereg świątyń wielkopolskich przepiękną polichromją, że wymienię tylko pozycje ważniejsze, jak kościoły w Obrzycku, Gołuchowie, klasztor w Mogilnie, kaplicę generała Dąbrowskiego w Winnej Górze i in.

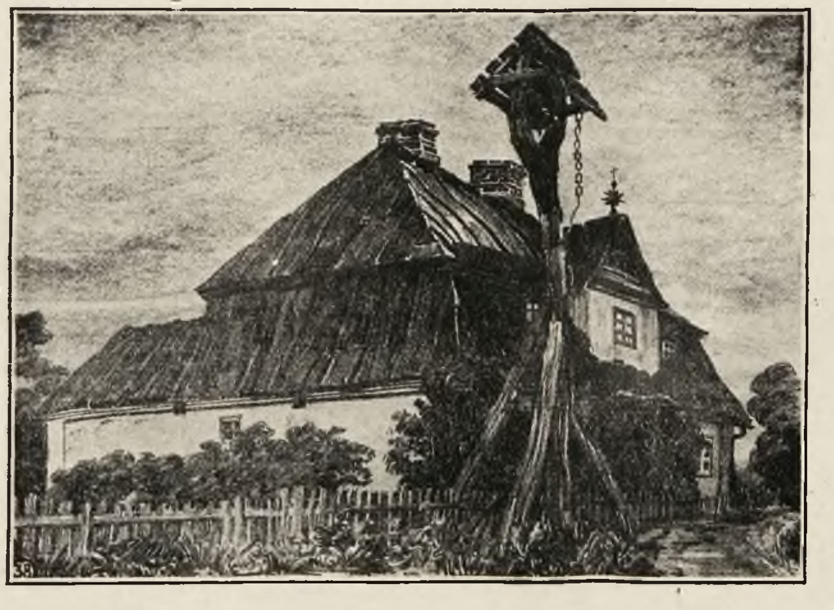
W wolnych chwilach z zamiłowaniem uprawia artysta malarstwo sztalugowe (pejzaż, portrety), biorąc udział w salonach wystawowych Warszawy (Zachęta), Poznania („Świt" i Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych) i Lwowa. W roku 1922 otrzymuje prof. Gosieniecki pierwszą nagrodę Muzeum Tatrzańskiego imienia Chałubińskiego w Zakopanem za projekty umeblowania i dekoracji wnętrza. Nagroda druga przypadła prof. Władysławowi Skoczylasowi.

Jednakże jedną z najważniejszych zasług prof. Gosienieckiego jest jego praca nad utrwaleniem zabytków starej architektury, wyrażająca się dotąd w 46 planszach autolitografji, zebranych w cztery teki pod ogólnym tytułem „Zabytki Sztuki Rodzimej Polski Zachodniej". Codopiero ukazała się czwartego poszytu część pierwsza (Poznań, 1935), wydana — co szczególnie podkreślić należy — nakładem własnym, bez jakiegokolwiek zasiłku, czy dotacji. Zeszyt ten obejmuje dwory i dworki wielkopolskie, sięgające w. XVII i XVIII. Nie różnią się one niczem od dworów reszty Polski. Na dziesięciu planszach uwidocznił prof. Gosieniecki w świetnych rysunkach dworki: w Poznaniu przy ul. Lubrańskiego, Mącznikach pod Skalmierzycami, Grabonogu pod Gostyniem (widoki z boku i od zajazdu), Gościejewie, Koszutach i Studzieńcu pod Rogoźnem. Inż. Arch. J. Zbijewski wykonał rzuty, przekroje, pomiary i wykresy tych objektów, oraz dał w przedsłowiu interesujące uwagi fachowo - architektoniczne, które posłużyć mogą jako materjał dla przyszłego badacza budownictwa XVII i XVIII wieku na ziemiach zachodniej Polski. Całość wykonana w dwu kolorach, technika ofsetowa zaszczyt przynosi zakładowi graficznemu „F. K. Ziółkowski" w Poznaniu, którego kierownik artystyczny, grafik Marjan Ziółkowski, już niejednokrotnie dowiódł mistrzowstwa w tego rodzaju pięknych wydawnictwach. Ze smakiem komponowana obwoluta teczki jest praca syna prof. Gosienieckiego.

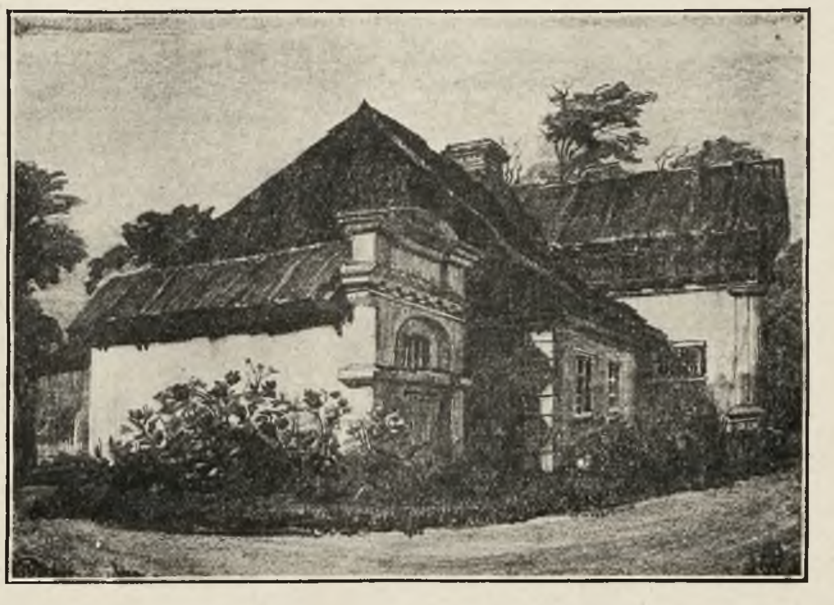
Bibljografja artystyczna regjonu zachodniego wzbogaciła się o jedną **ważną** pozycję, która oby była bodźcem do dalszej na tem polu pracy, biorąc chociażby pod uwagę **niezmordowana twórczość, zapał, pracę i młodzieńczy entuzjazm szanowanego powszechnie prof. Gosienieckiego.**



Prof. Wiktor Gosieniecki — Dwór w Koszutach pod Środą (od ogrodu). Litografja z teki „Dwory i dworki Wielkopolskie".



Prof. Wiktor Gosieniecki — Dworek w Mącznikach pod Skalmierzycami. Litografja z teki „Dwory i dworki Wielkopolskie".



Prof. Wiktor Gosieniecki — Dworek w Grabonogu pod Gostyniem. Widok z boku. Litografja z teki „Dwory i dworki Wielkopolskie".

*) Np. w nocy w sobotę na niedzielę 30 grudnia rk. ub. spłonął w Grodzisku Wlkp. ostatni tamtejszy dom z podcieniem, o historycznej architekturze, sięgający założeniem średniowiecza.

**) Złota Kaplica posiada nagrobek w kształcie tumby, projektu Lanciego. Posągi obu królów są dziełem berlińskiego rzeźbiarzaCh. Raucha, odlane w roku 1838-39, ustawione w r. 1841. Kaplica ozdobiona jest przez Suchodolskiego i Brzozowskiego.

Odnawiając ją, przywrócił jej Gosieniecki dawny swój blask kolorystyczny i przepych.

Wystawa bieżąca w Tow. Przyj. Sztuk Pięknych

Obok wystawy zbiorowej obrazów Kędzierskiego jest jeszcze w Tow. Przyj. Sztuk Piękn. wystawa bieżąca. Bierze w niej udział kilku malarzy poznańskich oraz grafików.

Augustynowicz wystawia dobre akwarele, jak zawsze technicznie bez zarzutu. Najlepsze „Wróble", narysowane z dobrym naturalizmem i z dobrze oddanym głębokim śniegiem. W „Dziewczynie zebierającej krokusy" naturalizm jest zbyt daleko posunięty, aż do fotograficznej martwoty. *Dziurzyńska-Rosińska* pokazuje, że jej doskonałe płótna na „Wystawie gwiazdkowej" nie są jedynemi i wystawia świetny „Pejzaż". Rosińska wie czego jej trzeba i potrafi to dobrze zastosować i wykorzystać: trochę światła, barwy, dużo rozmachu. A wraz z wrodzonym talentem posiada to wszystko w dostatecznej mierze, aby tworzyć dobre rzeczy. Tego niestety nie można powiedzieć o *Mazurkiewiczu*. Jego obrazki miały być wielce efektowne, a są mocno banalne. Widać brak wiedzy malarskiej i praktyki. Akwarele *Batyckiego* są bardzo biegłe w technice i malowane z rozmachem. Pastele *Kornickiej* bezpretensjonalne.

Prócz tego wystawiono trzy obrazy olejne *Męciny Krzesza:* Portret św. Jana Bosko i dwie głowy kobiece.

Grafikę reprezentują *A. Goryńska* z Warszawy i *A. Bunsch* z Krakowa. Drzeworyty *Goryńskiej* są wykonane z dużem opanowaniem techniki. Odzwierciadlają wpływy, jakim podlegał swego czasu kurs grafiki Skoczylasa, a więc chińszczyznę (dwa studja psów) i niemieczczyznę 16-go w. (Pokój), która wygląda dość ponuro. Lepsze są barwne drzeworyty *Bunscha*, wykonane na japoński sposób i japońskie w efekcie z dobrze wydobytą finezją rysunku i koloru.

Nadto wystawił kolekcję kopji obrazów starych mistrzów z Luwru *Jan Załuska* z Warszawy. Wiernie oddają antyczną patyne oryginałów i dają nagół dobre pojęcie o ich wyglądzie i stanie zachowania. Tylko z subtelniejszemi partjami obrazu, jak delikatne fałdy szat i ręce nie umie sobie jeszcze artysta dać rady.

P. Romanowski.

MARJAN ŁEBKOWSKI

Z Operv

Gościnne występy Drabika. — VIII. koncert symfoniczny

Nawiązując do 15-lecia pracy artystycznej Stanisława Drabika, rozpoczętej chlubnie na deskach Teatru Wielkiego w Poznaniu, miło mi jest podkreślić, że artysta jest zagranicą jednym z niewielu krzewicieli dorobku muzycznego polskiego, występując w różnych operach jugosłowiańskich i wiedeńskich i krzewiąc kult dla polskiej twórczości operowej i polskiej pieśni.

W Poznaniu wystąpił obecnie Drabik w „Pajacach" Leoncavalla i w „Żydówce" Halevy'ego. Obie partje, zarówno Cania, jak i Eleazara, wykonał artysta umiejętnie i z odczuciem, mimo chwilowej niedyspozycji. Glos, aczkolwiek nieco matowy w górnych tonach, brzmi soczyście, uwypuklając precyzyjnie momenty zarówno liryczne, jak i tragiczne przeżyć obu tenorowych partnerów.

Drabik — to nietylko dobry śpiewak, ale i aktor interesujący i nieprzeciętny. Obok 2 wielkich bisowanych aryj („Śmiej się, pajacu" i „Rachelo, kiedy Pan...") zasługuje na uwagę w jego interpretacji szczególnie piękna arja w „Żydówce", którą artysta wykonał po mistrzowsku w czasie błogosławieństwa chleba paschalnego.

— „O Władco Nieba, ziemi" brzmiała istotnie błagalnie, a pokorne piana, z odczuciem utrzymywane na właściwym poziomie dynamicznym, oraz konsekwentnie przeprowadzone crescenda i decrescenda wywoływały niemały efekt i niekłamane wrażenie widzów, wypełniających do ostatniego miejsca salę teatru.

Partję Tonia w „Pajacach" śpiewał niezawodny Dolnicki i był zmuszony do powtórzenia popisowego prologu. Neddą była Kisielewska. W „Żydówce" sekundowała Drabikowi Marynowiczówna jako Rachela (glos miły, gra subtelna i udatna). Pan Cirin stworzył świetną partję Kardynała. Resztę partyj wykonali: Olgina i Gruszczyński. Orkiestrę prowadził p. Barański. Chóry, chwilami niepewne, mijały się niekiedy z rytmem.

VIII koncert symfoniczny bieżącego sezonu był niewątpliwie najbardziej interesującym nie tyle ze względu na treść, ile ze względu na gościa tej miary, co znany holenderski dyrygent van der Pals. Zapowiedź przyjazdu van der Pals'a licznie zgromadziła tutejszych miłośników muzyki, którzy z prawdziwem zainteresowaniem wysłuchali całego koncertu. W I-ej części odegrano „Rosamundę" Schuberta oraz symfonję d-moll Schumanna, której treść, mimo pięknych inwencyj kompozytora, jest dość trudna do wysłuchania ze względu na swoje specjalne piętno techniki instrumentalnej, nieodłącznie związanej z mistrzowskim rysunkiem harmonizacji fortepianowej tego wielkiego romantyka.

Mikołaj van der Pals doskonale panował nad orkiestra, działajac nań niby promień ożywczy, a fachowo i kulturalnie obmyślana jego interpretacja wniosła dużo smaku i logicznego ujęcia do całości partytury, uwydatniając jej całą krasę.

Poemat Czajkowskiego „Romeo i Julja" przygotowany był równie starannie i drobiazgowo wycyzelowany przez p. van der Pals'a. Solistą wieczoru był Zygmunt Lisicki, który wystąpił w koncercie Saint - Saens'a. Lisicki rozporządza bogatą techniką fortepianową i posiada swoiste zalety wirtuozowskie.

JANINA SCHABOWSKA

„Sto lat sztuki belgijskiej"

w krakowskim Pałacu Sztuki

Zadanie kulturalne, jakie ma do spełnienia wystawa „Sto lat sztuki belgijskiej, to zapoznanie publiczności polskiej z wybitniejszymi twórcami ostatniego stulecia. Ma więc wystawa charakter retrospektywny i aktualny, przyczem część retrospektywna jest bogatsza niż współczesna. Chronologicznie odgranicza ostatnie stulecie od poprzedniej epoki w sztuce belgijskiej zastój pod koniec XVIII w. Żyją jednak wciąż w swoich dziełach i wpływają na młodych twórców starzy mistrze niemieccy i niderlandzcy. Z wpływów współczesnych najsilniejszy jest francuski za pośrednictwem David'a.

Epokę rozkwitu w XIX stuleciu rozpoczyna malarstwo historyczne, reprezentowane przez: Wappers'a, Biefve'a, Nic. de Keyser, Gallait'a. Tę gałąź malarstwa cechuje ogromny realizm szczegółów, zwłaszcza stroju, to też obrazy czynią niekiedy wrażenie studjów kostjumowych. Chlubnie reprezentuje malarstwo historyczne Gallait swemi dwoma obrazami z dziejów hr. Egmonta; współczesny mu Hendrik Leys jest badaczem i znawcą przeszłości; nietylko uczony ale i — może przedewszystkiem — artysta, widzi ją pełną piękna; świadczy o tem jego „Odwach", scenka rodzajowa z życia żołnierzy, którzy przy winie i kartach spędzają wolny czas. Tłem jest dziedziniec starego zamku, obrośnięty winem i skąpany w przedziwnie złotem świetle zachodzącego słońca. Portrecista Navez, uczeń David'a zarzucił malarstwo religijne i mitologiczne dla portretu; jego „Portret rodzinny" świadczy o drobiazgowej sumienności i objektywności, zbyt może wielkiej na współczesne upodobania.



Fot. J. Sch.

Widok jednej z sal wystawy „Sto lat sztuki belgijskiej". Na pierwszym planie rzeźby panującej pary królewskiej: Leopolda i ks. Astrid

Z kolei zapanował w sztuce belgijskiej realizm, nie obcy zresztą malarstwu hist. jako zjawisko uboczne. Wprowadza go Brakeleer, malarz starych wnętrz; brak jednak na wystawie obrazów tego rodzaju; jego zaś „Szewczyk" niedaleko odbiega od poprzedniego okresu, charakterystycznego bogactwem i wiernością szczegółow. „Posiłek" i „Kobieta z lustrem" są już inne: nie szczegóły, ale śmiało rzucone płaszczyzny składają się na obraz.

Zwyciężył w Belgji realizm dopiero wtedy, gdy go poparły wpływy francuskie; zmienił też nieco charakter: z formalnego stał się treściowym. Smits'a „Chrystus" w otoczeniu apostołów, to zwykli szarzy ludzie bez aureoli świętości. Agnessens daje dwa typy raczej niż portrety, biegunowo rożne: tchnącej namiętnością Jawajki i cichej, skrytej pod czepcem Flamandki. Trzy pejzaże Mellery'ego ujmują prostotą tematu — nie wykonania, bo to imponuje techniką — i każą się domyślać wielkiego umiłowania natury przez artystę. Inny charakter ma „Mój ogród" G. Vogels'a: prawie zupełnie brak realizmu szczegółów, a zwraca uwagę utrwalony przez artystę nastrój melancholji. L. Artan jest malarzem wody: jego „Widok z Breskens" to dwie otchłanie błękitu wody i nieba, zmąconego bielą piany i chmur — przecięte perspektywą dalekiego miasta. Jeszcze może piękniejszy jest „Księżycowy krajobraz"; śpiący młyn, uśpiona woda, spowite niesamowitem światłem księżyca. Osobną grupę wśród realistów tworzą malarze zwierząt: J. Stewens („Wózek z piaskiem", który ciągną psy i człowiek, zjednoczeni we wspólnym wysiłku) Vervee („Konie przy wodopoju"), Verlat („Chory kot").

Z kolei zajmuje dominujące stanowisko impresjonizm. E. Clausa „Tamiza w Londynie" każe podziwiać czarodziejską władzę artysty, który na szarej, mętnej wodzie podpatrzył wspaniałą grę barw. Podobnie harmonją i subtelnością barw zwraca uwagę „Przy wodopoju" Heymans'a.

Wśród artystów najmłodszych brak jednolitości kierunku, a pojedyncze obrazy nie wyczerpuje całokształtu twórczości. Wouters wraca do obrazu historycznego („Szaleństwo H. van der Goes"); van Rysselberghe daje akt prześliczny w rysunku, nieprawdopodobny nieco w barwie; ale wystarczy przypatrzeć mu się dłużej, aby uznać całkowicie sposób widzenia artysty. „Wieczór" Oleffe'a nie wiele mówi przeciętnemu widzowi. Bar. Frederic reprezentuje malarstwo religijne w stylu ludowym; jego „Zwiastowanie" bardzo przypomina wiejskie Madonny Vlast. Hoffmana. Podobna, ale bardziej prymitywna jest A. Cartea „Madonna i wioska". Zwraca uwagę świetnem wykonaniem studjów głowy króla Alberta (I. Opsomer). O zainteresowaniach artystów pracą świadczy „Robotnik" Paulusa.

Osobny dział wystawy stanowi rzeźba, nie reprezentująca jednak, jak maalrstwo, pełnych stu lat. Zwracają uwagę trzy rzeźby Meunier'a: „Młotnik" (pierwsze dzieło po r. 1886, gdy artysta od malarstwa zwrócił się znów ku rzeźbie) „Tragarz" i „Wybuch w kopalni". Dwie pierwsze to pełne siły i wyrazu postacie urastające przez swoją typowość do symbolu. Trzecia, zwłoki i pochylona nad nimi kobieta, to ofiary pracy. Rzeźby te są charakterystyczne dla twórczości Meunier'a: prawie wszystkie swoje tematy czerpał ze świata pracy, jak o tem świadczą i obrazy („Kowal"). Dupon fatalistycznie pojmuje losy ludzkie: ślepego bezradnego człowieka unosi „Przeznaczenie", pozostawiając mu złudzenie tylko, że niem kieruje. V. Rousseau'a „Taniec" symbolizuje piękno ruchu rytmicznego; druga grupa jest wręcz odmienna: dwie postacie kobiece zastygły w bezruchu, zasłuchane w „Nokturn gwiezdny". „Zagadka" Wynats'a jest stylizowana na rzeźbę egipską, Diana Wolfers'a unowocześniona. Dużą grupę tworzą rzeźby - portrety członków belgijskiego domu panującego, popiersia i głowy. Jaspers'a „Młodość" jest bardziej oryginalna, niż piękna, ale też ona jedna tylko budzi zastrzeżenia. Wszystkie inne rzeźby chwalebnie świadczą o swoich autorach i sztuce belgijskiej.

Wystawa „Sto lat sztuki belgijskiej" imponuje subtelnem bogactwem artyzmu.

GŁOS AKADEMICKI

„Slovensko Slowakom"

Młoda Słowacja pod sztandarem narodowym

(Wywiad ze Słowakami — studentami, bawiącymi w Polsce)

Slováci ožiju . . .

Korzystjąc z pobytu w Polsce grupy słowackich studentów stypendystów, udałem się do nich, aby dowiedziec się czegoś o słowackiej sytuacji politycznej wśród młodz. akademickiej. Na stole w ich pokoju leży plik numerów dziennika „Slovak" — organu ks. Andrzeja Hlinki oraz szereg polskich pism ideowych, a obok słowniki polsko - czeskie (bo polsko - słowackiego dotąd niema).

Jakie są najważniejsze organizacje studenckie słowackie?

„Svaz slovenskeho sztudenctwa", będący częścią „Svazu" czeskoslov. sztudenctwa", związek ogólnoakademicki, należący do C. I. E. — apolityczny i nie zważający na wyznania, którego ekspozyturą są słowackie organizacje „Detvan" w Pradze (regjonalno - kulturalna), „Krivań" w Bernie, „Sztur", organizacja filozofów w Bratysławie i szereg kół naukowych, n. p. „Spolok slov. medikov, pravnikov" etc. „Ustredie slov. katolickeho sztudenctwa" grupuje tylko słowackich studentów - katolików. Utrzymuje żywe stosunki z katolikami zagranicą, należy do „Pax Romana". Charakter: państwowy i narodowy równocześnie, religijny. Wydaje pismo literackie dla szkół średnich „Rozwój" (doskonale redagowane), zarządza Bratniakiem bratysławskim — „Svoradov" (pod wezwaniem św. Świrada). Filjami „Ustredia" są organizacje „Mojzes" w Bratysławie, „Tatran" w Bernie, „Považan" w Pradze.

Jakie są organizacje ideowe na uniwersytecie stołecznym w Bratysławie?

Właśnie powstała teraz wielka organizacja na uniw. bratysławskim „Spolok akademikov autonomistov" — Hlinkowców. Dawniej istniał „Klub slov. narodnych akademikov" — autonomistów ewangelickich pod wodzą poety Razusa, połączony teraz z Hlinkowcami politycznie. Czechosłowacką ideologję głosi „Spolok slov. agrarnych akademikov" (grupa nazwalibyśmy „sanacyjna", uprzywilejowana). Podobną ideologję, ale w duchu katolickim propaguje „Klub Miczurovych akademikov". Kto jest najsilniejszy?

Prawie wszyscy akad. to Hlinkowcy lub „narodowcy" (ewangel.). Agrarjusze trzymają się dzięki rządowi, bardzo wielu jest w Bratysławie komunistów. Organizacji jednak (w przeciwieństwie do Pragi), podobnie jak socjaliści, na uniwersytecie nie mają.

Jaka jest ideologja narodowców?

Państwowa, demokrat., parlamentarna, religijna. (Trzeba zważyć, że Słowacy są najmłodszym narodem Europy, świadomym od niecałych stu lat). Słowacy stoją na stanowisku umowy pittsburskiej, chcą autonomji, czyli słowackiego sejmu krajowego, języka urzędowego u siebie własnego, swoich urzędników i rządów.

Stosunek do Czechów?

Słowacy są niezadowoleni z obecnego stanu rzeczy, ale w razie uzyskania autonomji zupełnej, chcą silnego państwa czechosłowackiego. Zasadniczą sprawą jest obsadzenie urzędów w Słowacji przez Słowaków: „Slovensko Slovakom", „Slovensky chlieb slovenskym ludiom". Taką ideologję głosi Hlinka i ewangelja i cała atmosfera słowacka jest nią przeładowana.

A Żydzi?

Teraz się tworzy organizacja Żydów — Słowaków. Ale to obłuda. Żydzi są zdecydowanymi madziarofilami, narazie zaś wyznają ideologję czechosłowacką. Oni zawsze tam, „gdzie moc". Ponieważ madziarofilstwo Żydów często wychodzi najaw, antysemityzm wielkiemi krokami opanowuje Słowaczyznę. Słowacy wszyscy są, bo muszą być, antysemitami. W maju były bójki z Żydami na uniwersytecie i napad studentów na ghetto w Bratysławie.

Stosunek do Węgrów?

Zdecydowanie negatywny. Chodzi nam o utrzymanie swego stanu posiadania. Tu nawet socjaliści, są jednej myśli z resztą. Madziarofile to Żydzi, Niemcy i komuniści.

Stosunek do Polski?

W Słowacji zawsze żywą jest idea wszechsłowiańska. Zatem dążymy i do współpracy gospodarczej, kulturalnej, a nawet politycznej z Polską. Wrogo wobec Polski ustosunkowani są komuniści i socjaliści.

Ogólny nastrój polityczny w państwie?

Agrarjusze przewodzą, ale musieli porobić wiele kompromisów. Ostatnio narodowcy czescy (Kramarz, Stribrny) porozumieli się z narodowcami słowackimi w celach opozycyjnych.

Dążenia gospodarcze Słowaków?

Hasło liberalizmu narodowego góruje. Ale dziś problem polityczny przeważa u Słowaków nad wszystkiem.

Dziękuję Słowakom za wywiad i myślę: u nas jest bardziej męsko, silniej, u nas jest blizko zwycięstwa.

Jan Bielatowicz.

KSIĄŻKI NADESŁANE:

Jan Szczepkowski „Synowie buntu". Poznań. Księgarnia św. Wojciecha.

Zofja Kossak-Szczucka „S. O. S." Poznań Księgarnia św. Wojciecha.

Marja Reuttówna „Maryjka". Poznań. Księgarnia św. Wojciecha.

I. Pannenkowa „Więzy". Poznań. Księgarnia św. Wojciecha.

I. Lutosławska „Małżeństwo Zazy". Poznań. Księgarnia św. Wojciecha.

Jan Kilarski „Biały Król Gonawy". Poznań. Księgarnia św. Wojciecha.

Michał Pawlikowski „Wierzę w jednego Boga". Bibljoteka Medycka.

Adres Redakcji: Poznań, Św. Marcin 65. Konto P. K. O. 201410 Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65.
PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką) rocznie 10 zł. półrocznie 5 zł.
CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł. 1/2 strony — 130 zł. 1/3 strony — 90 zł. 1/4 strony — 70 zł. 1/8 strony — 40 zł. 1/10 strony — 30 zł.
Rękopisy nieczytelne, bez podpisu i adresu autora nie będą uwzględniane. Przedstawiciel Redakcji w Warszawie: Jan Bajkowski; w Krakowie: Jan Bielatowicz. Rękopisów nie zwraca się.
Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski, Poznań, Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Sieciechowicz, Warszawa.
Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Sp. z o. o. Poznań, ul. Strzałowa 2a.